

Anne McAllister

W drodze do jej serca

(A cowboy's pursuit)

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Trzaśnięcie tylnych drzwi wyrwało Artiego Gilliama z błogiej drzemki. Sen zmorzył go w fotelu, teraz zamrugał oczami i sprawdził, która godzina.

– Na lunch trochę za wcześnie – zauważył, gdy do pokoju wkroczył Jace Tucker. – A może zegarek mi stanął?

Dostał ten zegarek od ojca zaraz po zakończeniu pierwszej wojny światowej, a więc miał on już pełne prawo odmówić posłuszeństwa, lecz Artie miał nadzieję, że tak się nie stanie. Sam miał już dziewięćdziesiątkę i wierzył, że stary czasomierz jeszcze go przeżyje.

– Nie przyszedłem na lunch – odburknął Jace i wpatrując się w niego gniewnie, dodał: – Wróciła!

– Wróciła – powtórzył Artie z zainteresowaniem. Doskonale wiedział, kogo Jace ma na myśli.

Dla Jace'a Tuckera liczyła się tylko jedna kobieta na świecie: Celie O'Meara. To było jasne jak słońce, mimo że nie opowiadał o swoich sprawach sercowych. Był w tym tak powściągliwy, że równać się z nim mógł tylko sam Artie, wspominając swe problemy sprzed dobrych sześćdziesięciu lat.

Jace był na tyle przystojnym facetem, że zdobycie kobiety nie powinno stanowić dla niego żadnej trudności, on nie miał jednak w sobie nic z podrywacza.

Artie westchnął w duchu i wzruszył ramionami.

– Celie – warknął Jace dla wyjaśnienia.

– Aaa, jak miło. – Artie starał się udawać, że nie wiedział, o kogo chodzi.

Tymczasem Jace w swych znoszonych kowbojskich butach chodził wściekle po pokoju w tę i z powrotem i Artiemu przyszło do głowy, że jego dywan może tego nie przetrwać.

– Myślałem, że chcesz, żeby wróciła – rzekł, unosząc brwi.

Jace pominął to milczeniem. A przecież nie było dnia, aby po powrocie z pracy w sklepie z artykułami żelaznymi, lub z rancza, gdzie ujeżdżał konie, nie zapytał o wiadomości od kogoś z rodziny Celie. Cały klan O'Meara dziesięć dni temu wyjechał na Hawaje na ślub siostry Celie, Polly, ze Sloanem Gallagherem.

Artie żałował, że sam nie wziął udziału w tej ceremonii, ale jego serce ostatnio trochę niedomagało i lekarz kategorycznie zabronił mu podróży samolotem przez pół świata. Przystał na to pod warunkiem, że będą do niego telefonować. Miał więc dokładne relacje ze ślubu, który odbył się na plaży, i z przyjęcia weselnego z udziałem ekipy filmowej Sloana, i zawsze dzielił się tymi wiadomościami z Jace'em. Dzwoniła Joyce, matka Celie, potem telefonowali nowożeńcy i najstarsza córka Polly, Sara. Raz zadzwoniła nawet sama Celie.

Teraz jednak Jace był nachmurzony, ręce wcisnął w kieszenie i nerwowo przytupywał, nie mogąc ustać spokojnie w miejscu.

– Myślałem, że się ucieszysz, jak wróci – podjął znów Artie.

– Myślałem, że odzyskała rozum – wybuchnął Jace.

– O co ci chodzi? – zdziwił się Artie. – Przecież nie wywołała żadnego skandalu na ślubie

Polly i Sloana, prawda?

Wszyscy w Elmer wiedzieli, że Gelie od lat miała słabość do Sloana Gallaghery, kowboja, który został aktorem. Postawiła nawet na niego wszystkie swoje oszczędności podczas organizowanej w lutym kowbojskiej aukcji, gdzie mogła wygrać weekend z nim w Hollywood.

Co więcej, wygrała! Jeżeli jednak rzeczywiście była w nim zakochana, a Artie wcale nie był tego pewien, to weekend w Hollywood chyba ją z tego wyleczył. Mówiła o Sloanie w samych superlatywach, lecz od tej pory traktowała go raczej jak brata.

I bardzo dobrze, ponieważ Sloan zakochał się w jej siostrze, Polly. Mogła z tego wyniknąć przykra sprawa, lecz na szczęście tak się nie stało. Celie była zachwycona, kiedy Sloan i Polly zaproponowali jej, by była pierwszą druzną na ich ślubie.

Coś jednak musiało się stać, bo Jace przygarbił się, zacisnął pięści i z zaciętą miną patrzył w okno. Staremu, doświadczonemu kowbojowi, jakim był Artie, przypominał buhaja, który ma właśnie zaatakować.

– Chyba nie przypomniała sobie znowu o Williamsie? – zapytał zdezorientowany.

Matt Williams rzucił Celie dziesięć lat temu. Była jeszcze prawie dzieckiem, miała zaledwie dwadzieścia lat i zakochała się w nieodpowiedzialnym wyrostku, który nie umiał docenić tego, co miał. Ona jednak nie dawała sobie tego wytłumaczyć. Rozstanie z Mattem spowodowało u niej załamanie i napełniło nieufnością wobec mężczyzn.

Artie był zdania, że w takiej sytuacji przede wszystkim należy się jak najszybciej pozbierać, a potem rozejrzeć za kimś innym. Celie jednak zareagowała zupełnie inaczej. Zasyłała się we własnym domu ze stosami ilustrowanych pism i filmów wideo i ostatnie dziesięć lat spędziła pogrążona w marzeniach o Sloanie Gallagherze.

O ile Artie wiedział, to od chwili, gdy Matt ją rzucił, z nikim się nie spotykała, aż do dnia tej aukcji, w której postawiła na Sloana. Tylko że on był już wtedy zainteresowany Polly.

– Matt to drań i wszyscy o tym wiemy – burknął Jace.

– Nie zaręczyła się przecież z jakimś gogusiem na Hawajach? – Ta myśl poraziła Artiego jak grom z jasnego nieba.

– Nie. – Jace z gniewem zerwał z głowy kowbojski kapelusz i teraz miał jego rondo w dłoniach.

– O co więc chodzi, do diabła? Przecież wróciła, a na to w końcu czekałeś. – Gestem uciszył ewentualne protesty ze strony Jace'a. – Nie powiesz mi chyba, że już zdążyliście się pokłócić?

Nie było tajemnicą, że Celie i Jace mają ze sobą na pieńku i trudno im się dogadać. Po pierwsze, ona była uroczą, dobrze wychowaną dziewczyną, on zaś rozrabiaką, który długo nie posiedział spokojnie. Jakby tego było mało, Artie wiedział, że według Celie to właśnie Jace zainspirował Matta, by z nią zerwał. Miała więc o nim wyrobione zdanie, i nie było to bezpodstawne. Jace rzeczywiście cieszył się dużym miernem wśród młodych kowbojów, którym imponowała jego kawalerska fantazja i powodzenie u kobiet. Teraz już bardzo się ustatkował, ale nadal potrafił dobrze się zabawić.

Jace'owi, jakiego Artie zdążył poznać w ciągu ostatnich kilku miesięcy, zdarzało się

wypić kilka piw i pograć w bilard w barze „Pod Kroplą Rosy”, nigdy jednak nie wracał w nocy pijany – a wracał zawsze. Nie sprowadzał też do domu dziewczyn.

Myślał tylko o Celie, ale ona o tym nie wiedziała.

Jace nie był facetem, który by się afiszował ze swoimi uczuciami; przeciwnie, krył je pod grubą warstwą szorstkości i sarkazmu, nic więc dziwnego, że Celie nie miała pojęcia, co czuł.

– Wy dwoje i świętego wyprowadzilibyście z równowagi – mruknął Artie, kiedy Jace znów zaczął chodzić nerwowo po pokoju. – Jace! Przecież widziałeś się z nią dzisiaj najwyżej przez pięć minut. Czym cię tak rozgniewała?

– Wyjeżdża!

– Co takiego?

– Przecież słyszałeś. Wyjeżdża! – Jace miał minę na pół wściekłą, na pół zbolaną. Jego błękitne oczy, zwykle jasne jak bezchmurne niebo, pociemniały.

– Co to, u diabła, znaczy? Dokąd niby miałyby wyjechać?

– Pamiętasz, jak wybrała się na rejs dla samotnych? Rzeczywiście, Artie pamiętał to doskonale. Kiedy Celie wróciła z Hollywood po weekendzie ze Sloanem, wyleczona ze swego wieloletniego zadurzenia, postanowiła wziąć życie w swoje ręce. Nie oznaczało to jednak wcale, że ma zamiar paść w ramiona Jace’a, choć on miał chyba taką nadzieję.

Nie, bardzo niedługo potem, już w kwietniu, wybrała się w rejs dla samotnych.

Jace nie mógł pojąć, na co jej to potrzebne, a i Artie był zdania, że nie ma sensu szukać szczęścia gdzieś daleko, skoro tuż pod bokiem miała samotnego faceta, który ją kocha. Celie jednak nie pytała nikogo o opinię.

– Nie wiem, jakim cudem może sobie pozwolić na następny taki rejs – powiedział teraz. – To są kosztowne przyjemności.

– Owszem, może – warknął Jace przez zaciśnięte zęby – jeśli ją tam zatrudnią.

– Zatrudniają?

– Dzisiaj rano przyszła właśnie po to, żeby mi to powiedzieć. Rozpromieniona i radosna jak poranek, śliczna jak zwykle, wręczyła mi wymówienie. „Chciałabym, żebyś wiedział, że za dwa tygodnie wyjeżdżam – Jace przedrzeźniał melodyjny sposób mówienia Celie. – Dostałam pracę na statku wycieczkowym, więc nie będę ci już więcej działać na nerwy”. – Przy ostatnich słowach znów zacisnął dłonie w pięści, w wyrazie bezsilnej wściekłości.

Artie poczuł, że nagle zakłuło go w sercu. Trochę się niepokoił, gdy zdarzało mu się coś takiego, lecz jeszcze bardziej martwił się teraz o Jace’a.

Wprawdzie Artie miał już prawie dziewięćdziesiąt jeden lat, ale był nadal bardzo żywotny. Pamiętał jeszcze, jakie to uczucie, kiedy patrzy się na kobietę, pragnąc jej bardziej niż czegokolwiek innego na świecie. Jest to coś na kształt głodu i pustki wewnętrznej, które każą mężczyźnie iść za tą wybraną jak lunatyk. Jemu samemu też się to zdarzało, kiedyś w dalekiej przeszłości.

Była to jedna z przyczyn, że przyjął Jace’a do pracy u siebie. Chciał dać mu szansę.

Celie miała swoją własną firmę – salon piękności i wypożyczalnię kaset wideo C&S, gdzie ona zajmowała się strzyżeniem i masażem leczniczym, a jej siostrzenica Sara wypożyczała filmy – lecz mimo to prawie codziennie przychodziła i pomagała Artiemu w

jego sklepie z artykułami żelaznymi.

Kiedy Artie przeszedł zawał serca, mogła nawet sama poprowadzić dalej sklep i dałaby sobie radę. Celie taka była: życzliwa, miła, troskliwa; dziewczyna, która nie odmówi pomocy starszemu człowiekowi ani nikomu, kto jej potrzebuje. Taka dziewczyna byłaby naprawdę dobrą żoną.

Byłaby dobrą żoną dla Jace'a Tuckera.

Kiedy Artie odkrył, że Jace się w niej kocha, uznał, że musi mu trochę pomóc. Dlatego gdy po zawale przebywał w szpitalu, zatrudnił Jace'a jako swego zastępcę. Nawet kiedy wrócił do domu, udawał nieco słabszego, niż był naprawdę, żeby młodzi więcej czasu spędzali we dwójkę i aby ich sprawy sercowe wreszcie się ułożyły.

Tylko że nic z tego nie wyszło.

Trudno byłoby znaleźć dwoje większych uparciuchów niż oni. Celie wbiła sobie do głowy, że Jace jest nadal taki, jaki był w wieku dwudziestu trzech lat, i nie przyjmowała do wiadomości, że mógł się zmienić. On zaś milczał zawzięcie i za nic nie zdradziłby się ze swoimi uczuciami. Pracowali razem już prawie pięć miesięcy i, na oko sądząc, ich wzajemne stosunki raczej się pogarszały.

– A więc, co masz zamiar z tym zrobić? – zapytał Artie prowokująco. Miał nadzieję, że Jace zdobędzie się wreszcie na jakiś krok, który powstrzyma Celie od wyjazdu.

– Upiję się! – rzucił wściekle Jace i dodał: – A potem znajdę sobie inną dziewczynę!

Odwrócił się na pięcie i wyszedł z domu, trzasnąwszy drzwiami tak, że wszystkie szyby zadrżały.

Artie westchnął i rozłożył ręce bezradnie. Ci młodzi naprawdę nie umieli cieszyć się życiem.

Celie O'Meara marzyła o miłości i o małżeństwie, odkąd sięgnęła pamięcią. W dzieciństwie, kiedy jej siostry, Mary Beth i Polly, bawiły się w Indian i kowbojów, albo w doktora, ona bawiła się w „mamę” lub „żonę”. Czasem zadawała sobie pytanie, czy kiedy w wieku dziewiętnastu lat zaręczyła się z Mattem, nie był to po prostu dalszy ciąg tej zabawy.

Oczywiście, ta refleksja pojawiła się znacznie później. Wówczas była głęboko przekonana, że kocha Matta Williamsa, a co gorsza, myślała, że i on ją kocha.

Kiedy ją rzucił, czuła się zdruzgotana; świat jej się zawalił; załamały się nadzieje, marzenia i plany. Zdawało jej się, że jest nieudacznicą, której nic już w życiu nie czeka. Skoro Matt publicznie ją odrzucił, musiała być nic niewarta jako kobieta. Dręczyło ją to niczym wstydlive, widoczne dla wszystkich znamię.

– Musisz spotykać się z innymi, przyzwoitszymi chłopakami – radziły jej siostry.

– To tak, jakbyś spadła z konia – powiedział jej Artie Gilliam. – Po prostu trzeba się pozbierać i wsiąść znowu.

Matka zaś pocieszyła ją, że na Matcie Williamsie świat się nie kończy i że na pewno trafi w końcu na swojego mężczyznę.

Nic z tego do Celie nie docierało. Nie miała zamiaru „wsiadać znowu”. Już raz została upokorzona. Zaufała mężczyźnie i oddała mu swe serce, a on wdeptał je w piach. Miała zacząć od nowa i dopuścić, by coś takiego się powtórzyło? W żadnym razie.

A jednak nawet kiedy ślubowała sobie, że nigdy już nie zaufa żadnemu mężczyźnie, nie zdołała pozbyć się swych dawnych marzeń o miłości i małżeństwie. Przeniosła je tylko w sferę fantazji.

Rzeczywistych mężczyzn zastąpili więc ci wyśnieni, nieosiągalni – jak Sloan Gallagher.

Sloan uosabiał dla Celie ideał mężczyzny. Był przystojny, silny, dzielny, zdecydowany, mądry, odpowiedzialny i seksowny. Przede wszystkim jednak nie stanowił dla niej zagrożenia.

Widowała go w kinie i w telewizji, czytała o nim w pismach ilustrowanych i wyobrażała sobie, jak by to było, gdyby naprawdę był jej kochankiem. Te marzenia były cudowne, bo dalekie od rzeczywistości i niemożliwe do spełnienia – do momentu gdy Sloan zgodził się przyjechać do Elmer i wziąć udział w Wielkiej Kowbojskiej Aukcji Stanu Montana na rzecz ratowania rancza Maddie Fletcher.

Świat fantazji, który stworzyła sobie Celie, zderzył się wtedy ze światem realnym. Jej dwuwymiarowy Sloan łatwo mógł stać się mężczyzną z krwi i kości. Przez całe tygodnie poprzedzające aukcję Celie biła się z myślami, usiłowała zwalczyć pokusę; tak łatwo przecież jej marzenia mogły stać się szansą i wyzwaniem. Tylko od niej zależało, czy do tego dopuści. Uświadomiła sobie wtedy, jak puste i jałowe stało się jej prawdziwe życie przez to, że uciekała od rzeczywistości. Jej samej na niczym już nie zależało, mogła ten fakt zignorować, nie chciała jednak i nie mogła zignorować osoby Jace'a Tuckera.

Jego nie można było zignorować. Nikomu się to jeszcze nie udało. Był zbyt żywiołowy, zbyt silny... zanadto był sobą. Celie pamiętała go jeszcze z dzieciństwa – bo był inny. Fascynujący. Większy, głośniejszy, twardszy, bardziej szorstki w obyciu niż pozostali. Po prostu inny.

Ona z kolei zawsze była delikatna i dziewczęca. Nigdy nie czuła się całkiem swobodna w towarzystwie kowbojów czy na wspólnych imprezach przy ognisku. Matt przypadł jej do serca, gdyż był łagodniejszy, nie tak gruboskórny, jak cała reszta.

A jednak nawet Matt ją odrzucił.

To była wina Jace'a Tuckera! To on namówił Matta tamtego lata, żeby się z nim włóczył od rodeo do rodeo.

– Pozwól mi się jeszcze wyszumieć – powiedział do niej wtedy Matt, a ona nie zwróciła na to uwagi. Nie była jednak zachwycona, że rusza w drogę właśnie z Jace'em, który mógł mieć na niego zły wpływ.

Okazało się, że jej obawy były uzasadnione, kiedy w dwa miesiące później Matt nie pojawił się na własnym ślubie. Zamiast niego na kwadrans przed uroczystością zadzwonił do niej Jace Tucker z wiadomością, że Matt nie przyjedzie.

– On mówi, że jeszcze nie jest gotów – poinformował Jace.

– Co to znaczy, że nie jest gotów? – Celie za wszelką cenę nie dopuszczała do siebie bolesnej prawdy.

– Nie chce jeszcze się wiązać – wyjaśnił. – Mówi, że nie jest w stanie, ma tyle ciekawych rzeczy do zrobienia, chce sobie jeszcze pojeździć tu i tam...

Celie zaniemówiła, nie wierzyła własnym uszom. Na litość boską! Przecież prawie setka

ludzi szła właśnie główną ulicą miasteczka, żeby wziąć udział w ceremonii ich ślubu.

Matka wołała do niej z dołu, żeby się pośpieszyła, ojciec ubrany odświętnie czekał na nią z uśmiechem na twarzy.

Celie jednak nie była w stanie ani się uśmiechnąć, ani wymówić słowa. Jace, po drugiej stronie linii, zaczął się o nią niepokoić.

– To kłamstwo – wydusiła wreszcie do słuchawki. Tylko Jace, który takich spraw jak małżeństwo nie traktował poważnie, mógł wymyślić tak perfidny żart. W tym momencie poczuła, że go nienawidzi bardziej niż kogokolwiek.

– To nie jest kłamstwo, Celie – rzekł szorstko. – Matt nie przyjedzie! Nie chce się żenić. Odwołaj ślub.

Cisnęła słuchawkę.

Zrobiła dokładnie tak, jak jej powiedział. Odwołała ślub i trzęsąc się z wściekłości, nie przestawała czynić sobie wyrzutów. Tak jakby mogła to przewidzieć; jakby było oczywiste, że żaden mężczyzna przy zdrowych zmysłach nie zechce się z nią ożenić!

Jace nie powiedział nawet, że mu przykro, ale właściwie dlaczego miałoby mu być przykro? Przecież z pewnością to on wpłynął na Matta. Namówił go, by ją rzucił!

Do tej pory nie mogła mu tego wybaczyć, głównie jednak dlatego, że ilekroć go widziała, przypominała sobie o doznanym upokorzeniu.

Celie nie czuła się w pełni zrealizowana. Była, co prawda, właścicielką jedynej w Elmer salonu piękności i wypożyczalni wideo, pracowała społecznie w miejscowej bibliotece, miała sześć kochających ją siostrzenic i jednego siostrzeńca, oraz kota Sida, który lubił ją bardziej niż jakiegokolwiek inne stworzenie na świecie. Nie miała jednak narzeczonego ani męża, ani dziecka.

Nie była żoną ani matką.

Została odrzucona i przypominało jej o tym każde spotkanie z Jace'em Tuckerem.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat na ogół nie musiała go widywać. Był wolnym kowbojem i włóczył się po całym stanie, pracując to tu, to tam. Chociaż jego siostra wraz z rodziną mieszkała na ich rodzinnej farmie w pobliżu Elmer, rzadko pojawiał się w miasteczku.

Od czasu do czasu dochodziły do niej jakieś wiadomości na jego temat. Wiedziała, że dobrze mu szło na rodeo, przez kilka lat pod rząd brał udział w finałach kraju, a ostatnio jego siostra, Jodie, rówieśnica Celie, mówiła z dumą, że jeśli w przyszłym miesiącu Jace wygra w finałach w Las Vegas, to zamierza się wycofać i może wtedy wróci już na stałe do Elmer.

Celie aż wzdrygnęła się na myśl, że na każdym kroku miałyby go spotykać, nic jednak nie powiedziała.

– Może się wreszcie ustakuje – zastanawiała się głośno Jodie. – Znajdzie sobie dobrą żonę i dorobi się garstki własnych dzieci. A może przysłać go do ciebie, do salonu? – dodała przewrotnie.

– Nie, dzięki – odparła Celie natychmiast.

– Kiedyś uważałaś, że jest fajny – przypominała jej Jodie.

To było w szóstej klasie i wiele się od tamtej pory wydarzyło.

– Od tego czasu zmienił mi się gust – odparła ostro. – Twój brat mnie nie interesuje.

A jednak przed grudniowymi finałami modliła się w duchu, aby Jace nie wygrał. Potem, kiedy okazało się, że został kontuzjowany, miała nawet wyrzuty sumienia. Nie życzyła mu źle, ale nie chciała, żeby odnosił sukcesy.

Można uznać za złośliwość losu, że niebawem Jace zaczął pracować razem z nią w sklepie żelaznym Artiego. W styczniu bowiem starszy pan miał zawał i jeszcze leżąc w szpitalu, właśnie Jace'a upatrzył sobie na swego zastępcę.

Wcale nie było to konieczne! Celie znakomicie poradziłaby sobie sama i nawet powiedziała to Artiemu, ale on wcale nie słuchał. Był na tyle uparty, że chociaż doceniał pomoc Celie, jej matki, siostry i siostrzenic, to jednak w myśl swych staroświeckich poglądów uważał, że zarządzać wszystkim powinien mężczyzna.

I uznał, że do tej roli nadaje się właśnie Jace!

Od tamtej pory zmuszona była pracować wspólnie z Jace'em Tuckerem i widywała go niemal codziennie, aż ze złości postanowiła wziąć udział w kowbojskiej aukcji i postawić na Sloana.

Jace drażnił się z nią bezustannie, pokpiwał sobie, kojarząc ją w żartach ze Sloanem, robił domyślne miny, aż miała już tego powyżej uszu!

Celie chciała na powrót zanurzyć się w swych marzeniach, lecz wkraczała w nie rzeczywistość – i Jace.

Im bliżej było do walentynkowej aukcji kowbojskiej, tym częściej w jej myślach pojawiał się on. Nie chciała przyznać nawet sama przed sobą, że widocznie Jace robi jednak na niej wrażenie. Był niewątpliwie przystojny, miał gęste, ciemne włosy i niebieskie oczy, prawie takie jak Sloan. Tylko że w oczach Sloana było ciepło i czułość, przynajmniej na filmach, natomiast w oczach Jace'a kryła się kpina.

Zdarzało się, że Celie miała ochotę czymś w niego rzucić lub go kopnąć, a na ogół po prostu schodziła mu z drogi; co nie znaczyło, że go nie zauważa.

W rzadkich chwilach, gdy się z niej nie nabijał, Jace spędzał czas flirtując ze wszystkimi kobietami, które zaglądały do nich do sklepu. Wydawało się, że są ich setki; tych miejscowych i przyjezdnych, które przybyły do Elmer, żeby wziąć udział w licytacji.

– Pewnie ci się wydaje, że będą stawiać na ciebie – powiedziała mu kiedyś.

– Ja nie jestem na sprzedaż – odpowiedział.

– Nikt by cię nie kupił – dodała bezlitośnie, lecz Jace tylko się roześmiał.

Celie jednak wcale nie uważała tego za śmieszne, wiedziała też, że to nieprawda. Gdyby Jace Tucker zgłosił siebie na aukcję, z pewnością wiele kobiet stawiałoby na niego. Na pewno też wiele z nich i bez aukcji miało na niego ochotę.

Kiedyś mruknęła nieuprzejmie, że powinien mieć harem, lecz on znowu się roześmiał.

– Jesteś zazdrosna? – rzucił. – Chcesz się przyłączyć?

– Nigdy! – warknęła. – Nie będę się dzielić swoim mężczyzną.

– Jeśli jeszcze kiedyś będziesz go miała – odpowiedział. I chociaż zaraz przeprosił, widząc, jak wielką sprawił jej przykrość, ta uwaga ugodziła ją do żywego.

To właśnie wtedy Celie zaczęła na serio rozważać pomysł przystąpienia do kowbojskiej licytacji. Początkowo wydawało jej się to absurdalne, lecz im dłużej o tym myślała, tym

bardziej dochodziła do wniosku, że musi zdobyć się na jakieś radykalne posunięcie. Przyszło jej do głowy, że w przeciwnym razie życie przejdzie obok niej. Nie mogła do tego dopuścić. Fantazje i marzenia przestały jej wystarczać.

Dlatego w dniu aukcji zebrała całą odwagę, wkroczyła do ratusza i w licytacji zaferowała za Sloana Gallaghera wszystkie swe oszczędności, co do centa.

Wygrała i miała wtedy chwilę prawdziwej satysfakcji, gdy zobaczyła minę Jace' Tuckera i wyraz nieklamane go zdumienia w jego oczach. Szokowanie Jace'a sprawiało jej jakąś przewrotną przyjemność i wyobraziła sobie, co by to było, gdyby Sloan się w niej zakochał.

Tak się jednak nie stało. Całe szczęście, bo i Celie odkryła, że ma dla niego wiele podziwu i sympatii, lecz nie jest to miłość.

Było to całkiem co innego niż uczucie, jakie żywiła dla niego jej siostra Polly – z pełną wzajemnością.

Patrząc na nich oboje, Celie czuła, że też pragnie takiej miłości i nie chce spędzić reszty życia sama, jako stara panna, która kocha tylko swoje koty.

Postanowiła więc nie dawać za wygraną i dalej szukać swej brakującej połowy.

Udział w kwietniowym rejsie dla samotnych stanowił pewien krok w tym kierunku i stanowił radykalny kontrast z jej dotychczasowym, ustabilizowanym trybem życia. Znowu udało jej się zadziwić Jace'a i potraktowała to jako następny punkt na swoją korzyść.

– Rejs dla samotnych? – zapytał wtedy z niedowierzaniem. Gapił się na nią tak, jakby oświadczyła, że zaraz zatańczy nago na ladzie. Pewnie w jego mniemaniu kobieta jej typu nie miała prawa do udziału w takim rejsie.

Celie miała na ten temat inne zdanie.

Wsiadając w Miami na wielki statek wycieczkowy, czuła się trochę zagubiona i niepewna, lecz już wkrótce okazało się, że swoboda towarzyska, jaką zdobyła strzygąc klientów w swym salonie fryzjerskim, bardzo jej się teraz przydaje w nawiązywaniu kontaktów z ludźmi, szczególnie z mężczyznami.

Poznała ich wielu, choć nadal była wobec nich bardzo ostrożna i trochę spięta. Żaden z nowo poznanych nie powodował w niej jednak takiego napięcia, jak Jace Tucker. Miała nadzieję, że ten rejs ją z tego wyleczy. Niestety, to się nie udało...

Wracając do Elmer, łudziła się, że może Jace przeniósł się na ranczo i nie będzie musiała go widywać, ale i tu nadzieje ją zawiodły.

– Artie chce, żebym został – wyjaśnił jej. – U Raya i Jodie byłoby za ciasno dla nas wszystkich, więc dopóki nie zbuduję sobie domu, będę mieszkał u Artiego.

„Dopóki nie zbuduje sobie domu”. Jodie nie myliła się więc, mówiąc, że Jace zamierza osiąść w Elmer na stałe. Pewnie miał już poważne zamiary co do jakiejś kobiety, dawał to do zrozumienia, nie chciał jednak powiedzieć, kto to jest.

Celie nie potrafiła zgadnąć, co to za jedna. Wciąż widywała go z różnymi; od jej własnej siostrzenicy, Sary – po Tamarę Lynd, aktorkę, która mieszkała z nim podczas aukcji.

Nie chciała pytać, czy chodzi właśnie o Tamarę; nie chciała też być świadkiem ich romansu, czy może nawet ślubu.

Wtedy właśnie wymyśliła, że może byłoby niezłym rozwiązaniem, gdyby podjęła pracę

na statku wycieczkowym. Pozwoliłoby jej to wyjechać z Elmer na dłużej.

Nie zwlekając, poczyniła odpowiednie kroki; złożyła podanie i czekała na odpowiedź. Miała trzydzieści lat, a praca na statku stwarzała jej szansę, że kogoś spotka.

I właśnie wczoraj, gdy wróciła ze ślubu Polly i Sloana, zastała w domu wyczekiwany list – jej podanie zostało przyjęte.

Perspektywa tak poważnej zmiany w życiu w pierwszej chwili ją przeraziła, lecz dała jej też poczucie triumfu – szczególnie tego ranka, gdy oznajmiła Jace'owi, że opuszcza Elmer na zawsze.

Jace miał trzydzieści trzy lata i powinien już wiedzieć, że picie na umór nie załatwi żadnych jego problemów i z pewnością nie sprawi, że przestanie myśleć o Celie.

Celie wyjechała miesiąc temu, a jemu zdawało się, jakby minął rok; dziesięć lat; cała wieczność.

Wciąż nie mógł uwierzyć, że wyjechała! Była przecież prawdziwą domatorką, a jednak w dwadzieścia cztery godziny po powrocie z wesela Polly i Sloana wywiesiła w oknie swojego salonu tabliczkę: „Likwidacja zakładu”, a za tydzień już jej nie było.

– Nawet się nie pożegnała! – stwierdził Jace z gniewem, kiedy okazało się, że wyjechała.

– Bo jeszcze spałeś po wczorajszej pijatyce – odrzekł Artie z wyraźną dezaprobatą w głosie.

To prawda, że od chwili, gdy Celie oznajmiła mu o swej decyzji, Jace wiele czasu spędzał „Pod Kroplą Rosy” lub „Pod Baryłką” w Livingston. Intensywnie poszukiwał też kobiety, która pozwoliłaby mu zapomnieć o Celie, lecz choć ponawiał próby, nic z tego nie wychodziło.

– Mogłeś ją zatrzymać – powiedział Artie z wyrzutem.

– Tak – warknął Jace. – Błagać ją, żeby nie jechała.

– Właśnie.

Jace jednak nigdy by tego nie zrobił. Miał swój honor.

– Wyszedłbym na idiotę – rzucił.

– A teraz? Na kogo wyszedłeś?

Do diabła, co za różnica. Teraz był po prostu bardzo zmęczony.

W następnym miesiącu czuł się jeszcze bardziej zmęczony. Ciągłe hulanki i randki z coraz to nowymi kobietami były naprawdę wyczerpujące, szczególnie gdy Jace na siłę starał się być miły i uwodzicielski, a naprawdę nic go to nie obchodziło i w dodatku nie przynosiło mu żadnej ulgi.

Artie wyraźnie potępiał taki tryb życia i Jace miał tego świadomość. Starszy pan nie musiał nawet nic mówić, wystarczyło jego smutne, pełne pożałowania spojrzenie znad opuszczonych okularów, jakim obrzucał Jace'a, gdy ten wychodził.

Tym razem znów zapowiadała się niezła zabawa w barze „Pod Kroplą Rosy”, a przy odrobinie szczęścia miał szansę poznać tam jakąś nową, względnie ładną i chętną kobietę.

– O co chodzi? – zapytał, widząc zboląłą minę Artiego.

– Myślałem, że wreszcie ci się to znudzi. – Starszy pan tylko pokiwał głową. Nie musiał nic więcej tłumaczyć.

– A co mam robić? Masz jakieś lepsze pomysły? – Jace rzeczywiście zaczynał mieć dosyć takiego trybu życia.

– Może i mam.

Jace zatrzymał się z ręką na klamce i spojrzał na Artiego badawczo.

– To znaczy?

– Jesteś kowalem własnego losu.

– Czy mógłbyś to sprecyzować?

– Jesteś tym, co robisz. – Artiego zainspirował pewnie podręcznik zen, który miał właśnie na kolanach, a który dostał w prezencie od matki Celie.

– Przecież coś robię!

– Upijasz się. Podrywasz kobiety. Usiłujesz podrywać kobiety – poprawił się Artie, co rozzłościło Jace'a jeszcze bardziej.

– Nie upijam się. Od wielu tygodni nie byłem pijany.

– No i dzięki Bogu.

– Tobie to krzywdy nie zrobiło – zauważył Jace.

– Ale i tobie nie pomogło, prawda?

– Nic mi nie pomaga!

– Skoro tak – rzekł Artie w zamyśleniu – może powinieneś spróbować czegoś innego.

– Próbowałem.

– Nie chodzi o kobiety.

– A o co?

Artie wymownym gestem wskazał podręcznik zen, jakby krył on w sobie wszystkie potrzebne odpowiedzi.

– Gdziekolwiek idziesz, tam jesteś – zacytował, a widząc, że Jace nie rozumie, wyjaśnił:

– A jeśli nie idziesz, to cię tam nie ma.

– Na razie nigdzie nie poszedłem.

– No, rzeczywiście – mruknął Artie. – Jesteś taki tępy, na jakiego wyglądasz. Kochasz Celie O'Meara, prawda? – Właściwie nie było to pytanie, lecz stwierdzenie. – Przez miesiąc za wszelką cenę starałeś się o niej zapomnieć. Próbowałeś żyć dalej, wybić ją sobie z głowy, ale nie pomogła ci ani praca, ani picie, ani inne kobiety. Nie jesteś w stanie o niej zapomnieć, prawda?

– No, ja...

– Nie jesteś – Artie sam sobie odpowiedział. – W takim razie musisz zrobić coś innego, coś, co przekona ją, że ją kochasz.

Jace na chwilę zaniemówił ze zdumienia. Jak mógł Celie o czymkolwiek przekonać, skoro nawet jej tu nie było? Poza tym powiedzenie kobiecie, że się ją kocha, było czymś bardzo ryzykownym i nigdy jeszcze mu się to nie zdarzyło. A co tu mówić o Celie, która miała pełne prawo go nienawidzić.

– Więc co proponujesz? – zapytał. – Jakieś kolejne przysłowie zen, które mi pomoże?

– To nie zen – odparł Artie. – To po prostu najzwyczajniejszy, staromodny zdrowy rozsądek. Jeśli góra nie przychodzi do Mahometa, Mahomet musi pójść do góry.

ROZDZIAŁ DRUGI

Praca na statku wycieczkowym, była czymś całkiem innym niż udział w rejsie, o czym Celie przekonała się prawie od razu.

Całymi dniami robiła tu właściwie to samo, co w Elmer – strzygła, czesała, myła i farbowała klientkom włosy, a dwa razy w tygodniu robiła masaż tym pasażerom, którzy mieli na to ochotę. Tylko że tutaj czasem podłoga kołysała jej się pod nogami.

W małej kajucie, którą dzieliła z koleżanką, ledwie starczało miejsca, by się ubrać. Było to tak głęboko we wnętrzu statku, że wychodząc na górę, Celie miała wrażenie, iż musi pokonać chorobę kesonową.

Jej szefowa nazywała się Simone i chociaż nie chodziła z batem, to łatwo można było ją sobie tak wyobrazić.

– Jest twarda jak mężczyzna – poinformował Celie Stevie, jeden z fryzjerów.

Rzeczywiście, Simone wylała z pracy Trący, poprzednią współlokatorkę Celie, tylko za to, że zobaczyła ją wychodzącą rano z kajuty pasażerskiej w tej samej sukience, którą nosiła poprzedniego wieczoru.

Zasady Simone były surowe i jasne, a wszystkie jej pracownice miały ich bezwzględnie przestrzegać.

– Jesteście dla pasażerów czarujące – mówiła sucho – ale z nimi nie sypiacie.

Celie wzięła to sobie do serca i nie była to z jej strony szczególna ofiara, gdyż i tak nie zamierzała tu z nikim sypiać. Zupełnie jej wystarczyło, że ma być czarująca. Poznała już na statku wielu ludzi, wśród nich oczywiście byli mężczyźni. Czasem towarzyszyli jej w wycieczkach na ląd, kiedy statek zawijał do rozmaitych portów na Karaibach, a ona akurat miała wolne. Przez ostatnie dwa miesiące zgromadziła więcej wspomnień niż przez całe życie w Elmer.

– Nie tęsknisz za domem? – pytała ją przez telefon zatroskana Polly.

Oczywiście, że tęskniła. Sądziła jednak, że to nieuniknione, i uspokajała siostrę, że wszystko w porządku i żeby się nie martwiła.

Rzeczywiście, całymi dniami była tak zajęta, że nie bardzo miała czas pomyśleć o domu. Za to często nocą długo leżała bezsenne, wspominając rodzinne strony. Wiedziała jednak, że gdyby tam została, nic by się w jej życiu nie zmieniło.

Nie było tam mężczyzny, który kochałby ją tak, jak Sloan kochał Polly. Znała tam wszystkich i ci, którzy wchodziliby w rachubę, byli już zajęci.

Przypominała sobie rozmowę z Artiem, kiedy zadzwoniła z Hawajów, żeby opowiedzieć mu o ślubie swej siostry i o jej szczęściu. Wymknęło jej się wtedy:

– Mam nadzieję, że kiedyś też znajdę takiego mężczyznę, jak ona.

– No, a Jace? – podchwycił natychmiast Artie, niech Bóg ma go w swojej opiece.

– Jace? – Celie aż dech zaparło ze zdumienia. – Ja i Jace Tucker?

– A co masz przeciwko niemu? – nie ustępował starszy pan.

Wszystko, cisnęło jej się na usta. Jace był zbyt przystojny, zbyt pewien siebie i zanadto uwodzicielski. Poza tym miał ją za nic. Była przecież dziewczyną, którą rzucił nawet taki

nieudacznik, jak Matt Williams! Nie mogła pojąć, po co Artie w ogóle o nim mówi. Czyżby ze starości zaczynało mu się już mieszać w głowie?

– Nic by z tego nie wyszło – powiedziała w końcu. – To tak, jakby Czerwony Kapturek wyszedł za mąż za złego wilka.

Artie chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz ona szybko ucięła rozmowę.

Opuszczając Elmer, myślała głównie o tym, by uwolnić się właśnie od Jace'a; od jego kpiącego uśmiešku i przykrych uwag. Stanowiło to główny powód jej wyjazdu.

Nie uciekała jednak od niego. O, nie! Wręcz przeciwnie, uciekała do świata, który wabił ją mnóstwem nowych możliwości. Zwiedzała nowe miejsca, gromadziła wspomnienia, spotykała wspaniałych ludzi.

Wmawiała sobie, że o to jej właśnie chodziło: żeby poznać świat, no i znaleźć miłość swego życia.

Pozostawało to jednak jej najskrytszą tajemnicą. Niektórzy członkowie załogi i tak już wyśmiewali się z jej naiwności i niewinności, które miała wypisane na twarzy. W pewien sposób przyciągało to mężczyzn.

Yannis, steward od win, zaproponował, że zabierze ją na ląd i oprowadzi po miejscach, których nie zwiedzają turyści, i dopiero zdecydowana ingerencja Allison, jej nowej współlokatorki, fryzjerki, ustrzegła Celie przed wyprawą, która nieuchronnie zakończyłaby się w jakimś obskurnym, portowym hoteliku.

Allison była bardziej doświadczona i trzeźwo patrzyła na życie, a po przygodzie, jaką Celie miała z Armandem, który prowadził na statku sklepik z pamiątkami, uznała, że musi czuwać nad swą łatwowierną koleżanką.

Celie dotąd rumieniła się na myśl o tym zdarzeniu. Armand namówił ją, żeby poszła z nim o północy na rufę statku, by zobaczyć ryby neonowe. Niby nic złego się nie stało, ale tylko dlatego, że w ostatniej chwili zdołała wyrwać się z jego namiętnego uścisku, Armand miał bowiem niedwuznaczne zamiary. Okazało się natomiast, że żadnych ryb neonowych nie ma tu i nie było!

– Uczysz się życia – stwierdziła potem Allison, a ryby neonowe stały się od tej pory synonimem naiwności Celie.

Rzeczywiście, uczyła się przez cały czas. Widziała masę ciekawych rzeczy, wysłała do domu już z tuzin pocztówek, łąpczywie chłoneła nowe wrażenia. Wprawdzie nie spotkała jeszcze mężczyzny swego życia, lecz nie traciła nadziei.

Nie czekała na niego z założonymi rękami. Spotykała się i schodziła na ląd z mężczyznami, których zaaprobowała Allison, a oznaczało to tych, z którymi mogła czuć się bezpieczna. Wybrała się więc na egzotyczne targowisko w Nassau z uroczym Szkotem o imieniu Fergus, jeździła na nartach wodnych z Australijczykiem Jeffem i piła margaritę z Kanadyjczykiem o imieniu Jimmy.

Spędzanie czasu w towarzystwie tych sympatycznych, wesołych i dobrze wychowanych młodych ludzi na pewno było lepsze niż pozostawanie w Elmer, gdzie życie przepływało obok niej.

Żaden z nich nie był jednak „tym jedynym”.

Wciąż nie dopuszczała do siebie myśli, że „ten jedyny” może nigdy się nie znaleźć. Gdzieś musiała być jej druga połowa; Celie wierzyła, że spotkają się w najmniej oczekiwanym momencie. Wystarczy jedno spojrzenie i zakochają się w sobie bez pamięci. Potem będą zaręczyny i ślub w Elmer. Na wesele Celie O’Meara przyjdzie cała okolica i wszyscy razem z nią będą się cieszyć i świętować.

Przysięgła sobie w duchu, że kiedy będzie szła przez kościół z mężczyzną swoich marzeń, wyszuka wzrokiem w tłumie Jace’a Tuckera i z triumfem pokaże mu język!

W wieku dziewięćdziesięciu lat Artie miał prawo do różnych dziwnych pomysłów, ale to, co wymyślił teraz, w mniemaniu Jace’a, biło rekordy głupoty.

Dlaczego przystał więc na ten szalony plan?

Musiał być zupełnym durniem, żeby zapłacić furę pieniędzy za „siedem pełnych rozrywki dni i nocy rejsu po Morzu Karaibskim” na statku, gdzie w salonie fryzjerskim pracowała Celie O’Meara. Chyba stracił zmysły.

– Oczywiście, że straciłeś zmysły – pogodnie przyznał mu rację Artie, odwożący go samochodem na lotnisko. – Wszyscy głupiejemy, jak jesteśmy zakochani.

Jace wiele razy już się nad tym zastanawiał. Do tej pory zawsze zakochiwali się inni – nie on. Czyżby tym razem rzeczywiście padło na niego?

Jeszcze tylko godzina dzieliła go od odlotu, żeby gonić gdzieś Celie O’Meara, która znajdowała się o tysiące kilometrów od niego. Jeszcze mógł się wycofać.

Artie wyczuł to, bo powiedział:

– O nie, mój panie. Zrezygnujesz i będziesz bardzo żałował.

Jace pomyślał, że może żałować znacznie bardziej, jeśli nie zrezygnuje i ruszy w ten opętany pościg. Co będzie, jeśli Celie spojrzy na niego, zadrze nosa i odejdzie? Albo w odpowiedzi na jego wyznanie każe mu iść do diabła? A najgorzej będzie, jeśli on na jej widok nie będzie w stanie wydusić z siebie ani słowa.

– Co? – Artie omal nie wjechał do rowu, kiedy to usłyszał. – Ty miałbyś nagle zaniemówić? Nie jesteś wątłym kwiatuszkiem i na ogół nie masz problemów z kobietami.

– Uważaj, jak jedziesz! – burknął Jace, w duchu jednak przyznał mu rację. Rozmawiał z kobietami, flirtował, same do niego przychodziły. Ale z Celie było zupełnie inaczej. – Ty na pewno nigdy nie robiłeś czegoś tak szalonego, jak ja teraz – mruknął.

– Nie, a szkoda – odpowiedział Artie po chwili milczenia. – Powinienem był.

Umilkł i skupił uwagę na tym, by nie pomylić zjazdu na lotnisko. Mimo pytających spojrzeń Jace’a nie rozwijał już dalej tego tematu.

Kiedy wjechali na parking, poklepał go po ramieniu gestem, który miał dodać kowbojowi otuchy.

– Podsunąłem ci pomysł, chłopcze – mruknął. – Nie masz nic do stracenia.

Owszem, stawiał przecież na szali swą nadzieję. Jak długo nie zobaczył się z Celie i nie wyznał jej, że ją kocha, mógł wciąż wierzyć, że pobiorą się i resztę życia spędzą razem.

– No już. – Artie otworzył drzwi samochodu. – Uszy do góry i naprzód! Nie bądź mięczakiem!

Zarzucając na ramię torbę podróżną, Jace czuł się, jakby zaciskał dłonie na uprząży wyścigowego konia.

„To jazda twego życia”, zadźwięczało mu w głowie powiedzenie jednego z kumpli, Garretta Kinga.

Dawniej każdy wyścig traktował w ten sposób. Z całą brawurą młodości stawał do kolejnych konkurencji, wierząc, że jest w stanie zdobyć najwyższe trofea. Miał zapał, doświadczenie, talent i wytrwałość.

A jednak to nie wystarczało i były sprawy, które wymykały się spod jego kontroli. Jace uświadomił to sobie dopiero w zeszłym roku. Kiedy podczas grudniowych finałów zdarzył mu się ten fatalny wypadek... Był już tak blisko zwycięstwa, że nieomal czuł jego smak. Jechał do Las Vegas z nadzieją, że pierwsza nagroda przypadnie właśnie jemu.

W jednej chwili załamała się jego kariera.

No a w dziedzinie uczuć? Nie chciał wyznać Celie O'Meara, że ją kocha, w obawie, że go odrzuci i wyśmieje. Wtedy straciłby bowiem nawet te resztki nadziei, jakie mu jeszcze pozostały.

Teraz jednak było za późno, żeby się wycofać. Sprowokowany przez Artiego i za jego namową zapłacił już za tę wyprawę, a w Elmer wszyscy wiedzieli, że wyrusza w rejs statkiem, na którym pracuje Celie. To też była zasługa starszego pana.

Jace nie przejmowałby się specjalnie, gdyby wywołało to jedynie parę ciekawych spojrzeń miejscowych plotkarek, lecz kpiące babskie komentarze na temat tego, „co on czuje do Celie”, wściekały go i przyprawiły o rumieniec. Nawet tak, zdawałoby się, delikatna osoba jak Felicity Jones nie powstrzymała się przed uwagą:

– Tylko nie zapomnij ostrzyć się podczas rejsu! Te rozważania przerwał mu Artie.

– Idziesz czy zamierzasz tu zapuścić korzenie? – zapytał.

– Tak, tak – ocknął się Jace i jeszcze mocniej chwycił swój bagaż. Jazda twojego życia, powiedział sobie w duchu i ruszył wraz z Artiem w stronę hali odlotów.

Poleciał najpierw do Salt Lake City, a stamtąd do Miami. Na lotnisku było gorąco jak w piekle i zupełnie nie przypominało to rajy zapowiadanego przez turystyczne ulotki reklamowe. Jace odebrał swoją torbę podróżną, otarł czoło bandanką, po czym wsiadł do autobusu, dowożącego pasażerów na statek. Tam czekały go rozliczne atrakcje i... Celie.

Próbował wyobrazić sobie, co powie na jego widok. Potem wołał o tym nie myśleć.

Usiłował chłonąć otaczającą go niecodzienną atmosferę, uśmiechać się do współpasażerów i nadržbiać miną, jakby czuł się tu doskonale, a nie jak ryba wyjęta z wody czy cielę idące na rzeź.

W autobusie prawie wszyscy mu się przyglądali, szczególną zaś uwagę przyciągał jego kapelusz. Większość mężczyzn ubrana była w letnie koszule i białe, płócienne spodnie. Dwóch miało na głowach płaskie czapeczki. Stetson, kowbojski kapelusz Jace'a, bez wątpienia wyróżniał się na tym tle.

Jace czuł się tym w pierwszej chwili zakłopotany, lecz kiedy zdjął kapelusz, poczuł się jeszcze gorzej. Zdawało mu się, że jest nagi.

Uznał, że przecież jest kowbojem i ma pełne prawo do swego stroju i wyglądu, podczas

gdy jego współpasażerowie pewnie bardziej pozują na graczy w golfa, niż rzeczywiście nimi są. To poprawiło mu samopoczucie i kiedy znów włożył na głowę kapelusz, z powrotem poczuł się sobą.

Nie stać go było na to, by sprawić sobie nowe ubranie specjalnie na ten tygodniowy rejs. Zabrał więc kilka koszul z długimi rękawami, koszulkę polo i T-shirty. Idąc za radą biura podróży, wziął także czarne spodnie, które miał na sobie dziesięć lat temu na ślubie swej siostry, Jodie; trzy lata temu na pogrzebie ojca i przy innych rzadkich, a uroczystych okazjach. Jednak na co dzień strojem, z którym się nie rozstawał, były dżinsy i długie kowbojskie buty.

Teraz też miał je na sobie. Za nic nie włożyłby idiotycznych mokasynów z frędzelkami. Gdyby wrócił w czymś takim do Elmer, wszyscy by go wyśmiali!

Pewnie i tak go wyśmieją, jeśli wróci bez Celie.

Bał się nawet myśleć, jak wyglądałoby jego dalsze życie bez niej.

Porzucił więc te rozważania i zaczął przyglądać się ludziom w autobusie. Jace na ogół lubił ludzi, chętnie z nimi rozmawiał, był też dobrym słuchaczem.

– Jak się pani tu podoba? – zagadnął więc z uśmiechem kobietę siedzącą obok niego. – To pani pierwszy rejs? Bo mój tak.

Kobieta uśmiechnęła się także i wyznała, że i ona jest tu po raz pierwszy i że latami zbierała pieniądze na tę wycieczkę. Po chwili dwie inne kobiety dołączyły się do rozmowy, a kiedy dotarli do statku, Jace i grupka kobiet stanowili już wesołą, rozgadaną grupę.

Pasażerami były tu głównie kobiety i Jace wkrótce odkrył, że na statkach wycieczkowych zawsze jest zapotrzebowanie na samotnych mężczyzn w jego wieku – a właściwie w każdym wieku. Pytano go nawet, czy jest tu w charakterze partnera.

– Partnera? – Jace był zaskoczony i poczuł, że się czerwieni.

– To nie to, o czym myślisz – odpowiedziała uprzejmie jedna z kobiet. – Czasami na rejsy wycieczkowe przyjmuje się mężczyzn za darmo – do towarzystwa – żeby takie samotne kobiety jak my miały z kim tańczyć.

– Ach, nie wiedziałem. Myślałem, że uważacie mnie za... – nie dokończył.

Kilka kobiet roześmiało się przyjaźnie, a jedna z nich, dałby głowę, poklepała go po tyłku!

– Nie miałabym nic przeciwko temu! – oświadczyła któraś wesoło.

– Ani ja, kochanie! – dodała druga.

– To mi bardzo pochlebia – rzekł Jace ze śmiechem – ale przyjechałem tu, żeby się z kimś zobaczyć.

– Z kimś? – Kobiety płonęły z ciekawości. – Z dziewczyną?

– Tak – odpowiedział szczerze. – Tylko że to właściwie nie jest moja dziewczyna. Jeszcze nie.

– Kim ona jest? Jak się nazywa? Czy to pasażerka?

– pytały jedna przez drugą.

– Nie, to nie pasażerka. Ona... hm... tu pracuje.

Nie chciał mówić zbyt wiele ani wtajemniczać tych obcych kobiet w swoje sprawy

osobiste. Gdyby jego spotkanie z Celie miało odbywać się pod okiem całej zgrai wścibskich bab, byłoby to jeszcze gorsze niż ewentualne zaloty w Elmer, gdzie nic nie uchodziło uwagi tamtejszych plotkarek.

Jace powoli posuwał się naprzód w kolejce do rejestracji i przydziału kabiny. Ogarniała go trema. Statek był olbrzymi i przypominał wielopiętrowy, luksusowy hotel. Dookoła stali wszędzie przystojni, umundurowani faceci, którzy w najrozmaitszych językach witali wchodzących na statek pasażerów. Jace'a także powitali uprzejmie, jakkolwiek jego stetson wywołał ich dyskretne uśmiechy.

Jak zauważył, żaden z nich nie miał obrączki. Pewnie podjęli tę pracę, żeby spotykać kobiety, podobnie jak Celie, która przyjechała tu, żeby spotykać mężczyzn. Prawdopodobnie ją znali.

A może zdążyła już się w którymś z nich zakochać?

Ta myśl spadła na niego jak grom. Potknął się z wrażenia i pewnie by się przewrócił, gdyby nie podtrzymały go trzy stojące obok blondynki, które poznał w autobusie.

– Dobrze się czujesz, kochanie? – zapytała jedna z nich.

– Tak, tak... świetnie... znakomicie – wyjąkał. Miał w ręku mapę statku, którą dali mu w rejestracji, i usiłował się w niej rozeznąć. – Ja... patrzę tylko, gdzie mam iść.

Jedna z blondynek zajrzała mu przez ramię, studiując mapę, na której urzędniczka w rejestracji zaznaczyła krzyżykiem kajutę Jace'a.

– Cudownie, mieszkasz tuż obok nas! – zawołała radośnie i podała mu rękę. – Jestem Lisa, kochanie. Deb, Mary Lou i ja zaopiekujemy się tobą, chodź teraz z nami.

I Jace, czując się, jakby spadł z konia prosto na głowę i poddał się losowi i posłusznie poszedł z nimi.

Lisa, Deb i Mary Lou rzeczywiście postanowiły opiekować się Jace'em. Wszystkie trzy pochodziły z Alabamy, były kuzynkami, uczyły w szkole, nie miały mężów i były w podobnym wieku: trochę po trzydziestce. Każdego lata wspólnie wybierały się w rejs, chcąc pobycć trochę razem, a może także spotkać interesujących mężczyzn.

– Dotąd niestety się to nie zdarzyło – ogłosiła Deb, wzruszając ramionami.

– Ale jesteśmy optymistkami – dodała Mary Lou.

– Albo masochistkami – zauważyła Lisa ponuro.

– W każdym razie – zakończyła Deb – będziemy cię miały na oku. – Stali już przed drzwiami jego kajuty.

– Ja... – Jace chciał zaprotestować i uświadomić im, że w żadnym razie nie jest mężczyzną ich marzeń, żeby miały co do tego zupełną jasność.

Lisa rozwiąła jednak jego obawy.

– Nic się nie martw, nie mamy zakusów na cudzą własność. Wiemy, że jesteś zajęty. – Deb i Mary Lou przyznały jej rację.

– Jesteś zajęty. To takie romantyczne – dodała któraś z nich. – Cieszymy się, że są jeszcze na świecie prawdziwi mężczyźni, tacy jak ty.

Czyżby? Jace miał nadzieję, że Celie będzie podzielała ten pogląd. Znow ogarnął go niepokój, co jej powie, kiedy się spotkają.

Do diabła! Ten cholerny statek był tak wielki, że w ciągu tygodnia mogli nie spotkać się wcale. Przez moment zastanawiał się, co by to było, gdyby wrócił do domu i oświadczył Artiemu i wszystkim innym w Elmer, że ani razu Celie nie widział. Chybaby mu nie uwierzyli.

Musiał opracować jakiś sensowny plan działania.

Wreszcie rozstał się z trojaczkami z Alabamy i wszedł do kajuty, która przez najbliższy tydzień miała być jego domem. Była duża, z wielką ilością szaf i meblami z jasnego dębu. Zastony miały kolor jasnoniebieski, a podłogę wyściełał gruby, miękki dywan. Niewątpliwie jednak największy podziw wzbudziło w nim wielkie podwójne łóże. Nie przywykł do takich luksusów i uznał, że samo to łóżko warte jest pieniędzy, które zapłacił za rejs.

Oczywiście wyobraźni widział już Celie leżącą tu razem z nim. Padł na pościel i na chwilę oddał się marzeniom.

Właściwie miało to pewien sens. Długie lata ujeżdżania na wpół dzikich koni nauczyły go, jak wielka jest moc wizualizacji. Trzeba umieć wyobrazić sobie własny sukces, zanim się go naprawdę osiągnie.

Teraz jednak miał trudności z wyobrażeniem sobie etapów pośrednich, koniecznych do tego, by Celie rzeczywiście znalazła się z nim razem w tym wspaniałym łóżku.

Leżał na wznak, z rękami założonymi pod głowę, i usiłował stworzyć w myśli obraz Celie, która uśmiecha się na jego widok, pieszczotliwie wymawia jego imię. Widział już siebie, jak ją obejmuje i tuli, a potem jak w kajucie ściąga z niej ubranie...

Głośne stukanie w drzwi gwałtownie przywołało go do rzeczywistości. Otworzył oczy i zerwał się na równe nogi. Serce mu waliło, myśli kłębiły się w głowie. Boże, a jeśli to Celie?

Błyskawicznie doprowadził się do porządku, złapał swój nieodłączny kapelusz i otworzył drzwi.

Rzecz jasna, nie była to Celie. Skąd mogła wiedzieć, że on tu jest?

Za drzwiami stały trzy nauczycielki z Alabamy, odświeżone i eleganckie, w kolorowych sukienkach, i uśmiechały się do niego.

– Właśnie idziemy na szkolenie o zasadach bezpieczeństwa – zaszcebiotały. – Zaczyna się za pięć minut. Idziesz z nami?

Musiał iść, oczywiście. To szkolenie, czy też tak zwana musztra szalupowa, było jedynym obowiązkowym punktem programu podczas całego rejsu.

Jace nie ochłonał jeszcze po fali pożądania, która ogarnęła go, gdy myślał o Celie. Nie był z żadną kobietą już od lutego, kiedy to ona wygrała na aukcji weekend ze Sloanem Gallagherem. Wtedy chciał znaleźć zapomnienie w ramionach Tamary Lynd, która zapewniała go, że na Celie świat się nie kończy. Tamta noc była jednak zupełnym fiaskiem. Tamara miała pełne prawo go znienawidzić, a on nie miał już potem żadnej kobiety.

Wciąż jeszcze nie całkiem przytomny, próbował tłumaczyć, że właśnie się zdrzemnął, ale zaraz będzie gotowy. Cofnął się na moment do kajuty, ochlapał twarz wodą, szybko zmienił koszulę i ze stetsonem oraz pomarańczową kamizelką bezpieczeństwa pojawił się na korytarzu, gdzie oczekiwały go Lisa, Deb i Mary Lou z identycznymi pomarańczowymi kamizelkami i z jednakowym uśmiechem na twarzach.

W salce, gdzie odbywało się szkolenie, było już pełno ludzi. Powitał ich przystojny, umundurowany mężczyzna z nieodłącznym, profesjonalnym uśmiechem. Przedstawił się jako Gary i zaczął omawiać obowiązujące pasażerów zasady bezpieczeństwa. W nagłych wypadkach wszyscy mieli zgromadzić się tutaj i czekać na dalsze instrukcje.

– A teraz – mówił dalej Gary – chciałbym przekonać się, że wszyscy państwo potraficie nałożyć kamizelkę bezpieczeństwa. Potem już zacznie się odpoczynkowo-rozrywkowa część tego rejsu.

Zademonstrował, jak nakładać kamizelkę przez głowę.

– Teraz wasza kolej – ogłosił. – Jeśli ktoś będzie miał z tym problemy, na sali jest wiele osób z personelu, by państwu pomóc.

Nakładając kamizelkę, Jace żałował, że zabrał kapelusz, który tylko mu zawadzał.

W tym momencie dobiegł go z tyłu znajomy kobiecy głos:

– Hej, kowboju, mogę ci potrzymać ten kapelusz.

Odwrócił się i stanął oko w oko z Celie O'Meara. Zdążył jeszcze zobaczyć, jak z jej twarzy szybko znika uprzejmy, profesjonalny uśmiech.

ROZDZIAŁ TRZECI

– Jace? – zapytała Celie, nie wierząc własnym oczom.

Naprawdę nie mieściło jej się to w głowie. Jace Tucker? Tutaj? Czują się, jakby nagle dostała cios w brzuch.

Zamknęła na chwilę oczy w przekonaniu, że to przywidzenie, które zaraz zniknie.

Przed chwilą, na widok kowbojskiego stetsona, poczuła nagły przypływ tęsknoty za domem. Prawie bezwiednie podeszła do kowboja, wiedziona tą samą siłą, jaka pcha ćmę w stronę światła. Nagle wezbrała w niej fala wspomnień.

Tęskno jej było za domem i rodziną, ale przecież nie za Jace'em!

W ustach jej zaschło, dłonie zwilgotniały, serce waliło jak młotem. Zacisnęła oczy z całej siły, chcąc, by wizja znikła. Kiedy jednak otworzyła je znowu, Jace nadal stał tam, gdzie przedtem. O ile przed chwilą też wyglądał na zaskoczonego, to teraz uśmiechał się.

Oczywiście, że się uśmiechał – miał na twarzy ten sam kpiąco-ironiczny grymas, którym prześladował ją nieustannie, odkąd tylko wrócił do Elmer.

– No, Celie O'Meara, cóż za miłe spotkanie... – rzekł ze śmiechem.

– Ach, więc to twoja przyjaciółka? – zapytał cichy kobiecy głos.

W tym momencie Celie zauważyła, że Jace nie jest sam, lecz towarzyszą mu trzy blondynki, które uważnie śledzą ich spotkanie i nie spuszczają z niej oczu.

To był właśnie Jace, kierujący się zasadą: „im więcej, tym lepiej”. Teraz jednak chyba trochę przeholował. Wybrał się w rejs z trzema kobietami?

Do diabła! Po co on w ogóle się tu pojawił? Właśnie na jej statku!

– Co ty tu robisz? – zapytała ze złością. Trzy blondynki drgnęły, słysząc ten ton.

Jace jakby zeszywniał, lecz zaraz wzruszył ramionami z pozorną nonszalancją i odpowiedział, uśmiechając się szeroko:

– No cóż, przyjechałem oczywiście po to, żeby się z tobą zobaczyć.

Celie czuła się, tak, jakby miała zaraz eksplodować.

– Ach tak, jakżeby inaczej! – parsknęła.

Jeśli więc przyjechał tu specjalnie, a to spotkanie nie było jedynie pechowym zbiegiem okoliczności, to najwyraźniej zjawił się wyłącznie po to, by ją upokorzyć. Jace Tucker był do tego zdolny. On najlepiej wiedział, jaką jest nieudacznicą. Pamiętał, że Matt ją rzucił, i zapewne znał nawet przyczyny.

Jakby tego było nie dość, wiedział, że przez dziesięć lat nie mogła się później pozbierać, z nikim się nie spotykała, żyła marzeniami o sławnym gwiazdorze. A kiedy wreszcie zdobyła się na odwagę i kosztem oszczędności całego życia wygrała weekend ze Sloanem, ten zrobił w tył zwrot i ożenił się z jej siostrą. Niby nie miała o to żalu, lecz zdawała sobie sprawę, że wyszła na idiotkę. Jace Tucker mógłby bez trudu zabawić się jej kosztem.

Do diabła z Jace'em! Znał wszystkie jej sekrety, nawet te, o których ona sama prawie już zapomniała.

Tutaj, na statku, zaczęła nowy rozdział swojego życia, zerwała z przeszłością. Znana była

tylko jako Celie O'Meara, dziewczyna może nieco naiwna, ale taka, która da się lubić. Świat otwierał się przed nią, oferując wiele wspaniałych możliwości; nabierała wiary w siebie i w to, że szczęście w końcu się do niej uśmiechnie.

I w tym momencie pojawił się Jace – ze swym nieodłącznym, kpiącym uśmiechem – Jace, który wściekał ją do żywego. Gapił się na nią i śmiał się.

Celie zdawała sobie sprawę, że jest on w stanie zniweczyć wszystkie jej dotychczasowe wysiłki.

– Czy to twoja dziewczyna, Jace? – zapytała jedna z blondynek.

– Dziewczyna z twoich stron? – dodała druga.

– Nie przedstawisz nas, kochanie? – zaszcebiotała trzecia.

Te pytania wprowadziły Jace'a w skrajne zakłopotanie, co było nie do ukrycia, bo zaczerwienił się po uszy. Pewnie wstydził się na samą myśl o tym, że mogłaby być jego dziewczyną.

Celie oczekiwała, że on zaprzeczy natychmiast i odżegna się od jakichkolwiek bliższych z nią związków, lecz ku jej zdumieniu wyjąkał tylko:

– Nnno... to jest... Celie.

– Cześć, Celie! – wykrzyknęły chórem wszystkie trzy blondynki z niezrozumiałym dla niej entuzjazmem. Zanim jednak zdążyła cokolwiek odpowiedzieć i zapytać o ich imiona, usłyszała tuż obok ostry kobiecy głos, mówiący z wyraźnym francuskim akcentem.

– Znasz tego pana? – To była jej szefowa, Simone, która wyrosła jak spod ziemi i teraz przenosiła badawcze spojrzenie z Celie na Jace'a i z powrotem. Nie kryła swego niezadowolenia.

– Pracowaliśmy razem, nic poza tym – powiedziała Celie, uprzedzając jej zarzuty. Znała bowiem stanowisko szefowej co do zawierania bliższych znajomości z pasażerami.

– Ten pan umie czesać i strzyć? – Simone uniosła brwi ze zdziwienia i z niedowierzaniem zlustrowała go wzrokiem od stóp do głów. Blondynki z haremu Jace'a również sprawiały wrażenie zaskoczonych.

– Nie, on nie strzyże – zaprzeczyła pośpiesznie Celie. – Chodzi o moją drugą pracę, w sklepie żelaznym. – Tego nie umieściła w swoim cv, sądząc, że wyglądałoby to nie dość światowo.

Simone, informująca wszystkich, że urodziła się w Paryżu, miała bardzo wysokie wymagania w zakresie dobrych manier i elegancji. Wszystkie jej pracownice musiały wyglądać jak paryskie modelki. Zatrudniała je, oczywiście, ze względu na odpowiednie kwalifikacje, lecz brała też pod uwagę ich tak zwany potencjał, czyli urodę, która miała jej salonowi przydać blasku i wiarygodności w oczach klientów.

Celie nigdy nie uważała się za piękną, jednak zabiegi, jakim poddano ją tu na samym początku, rzeczywiście zdecydowanie zmieniły jej wygląd na korzyść. Miała teraz modne uczesanie i profesjonalny makijaż. Zaczęła czuć się elegancką kobietą, nabrała pewności siebie.

Teraz wszystko prysło. Pozostało jej wrażenie, że jest oszustką, naiwną wiejską gąską, która usiłuje uchodzić za damę.

Była pewna, że Jace Tucker świetnie to widzi.

Czuła, że się czerwieni, i najchętniej zapadłaby się pod pokład.

– Teraz nie ma czasu na życie towarzyskie – oświadczyła Simone i tonem nie znoszącym sprzeciwu dodała: – Proszę wracać do pracy.

Celie doskonale wiedziała, co to oznacza. Miała natychmiast iść do salonu; w żadnym razie nie flirtować z pasażerami.

Tak jakby miała na to ochotę! Jace Tucker był ostatnim mężczyzną na świecie, z którym chciałaby flirtować. Nic jednak nie powiedziała, a nawet była wdzięczna szefowej, że pomaga jej wybrnąć z kłopotliwej sytuacji.

– Oczywiście – odpowiedziała, uśmiechając się promiennie – już idę. – Następnie tym samym, profesjonalnym uśmiechem obdarzyła Jace'a i jego harem i, umiejętnie maskując panikę, rzekła: – Witajcie na pokładzie.

No i tyle. Już po spotkaniu z Celie.

Dobrze, że w ogóle zdołał cokolwiek powiedzieć!

Jace siedział zgarbiony na stołku przy barze i wlewał w siebie już chyba piątą whisky tego wieczoru. Nie dbał o to, że pałą go wnętrzości; marzył, by wreszcie popaść w zapomnienie.

Boże, ale był idiotą! Usłyszał jej głos, odwrócił się i zupełnie go zatkało. Stał tam jak kulek w płocie i wpatrywał się w Celie, jakby ją pierwszy raz w życiu widział.

W pewnym sensie tak było.

Spodziewał się, że spotka tu tę samą dziewczynę, którą znał z Elmer i pamiętał od dzieciństwa: słodką, nieśmiałą, łagodną Celie. Oczywiście, zawsze była ładna, lecz jej uroda, równie spokojna, jak ona sama – nie przyciągała uwagi.

Nie to co teraz!

Obecna Celie była jakąś egzotyczną piękną o wielkich oczach, długich, czarnych rzęsach i charakterystycznych kościach policzkowych. Zamiast kręconych włosów, które łagodnie spływały na ramiona, miała teraz wyzywającą, modną fryzurę, tworzącą wokół twarzy fantazyjne pazurki.

Co się z tą dziewczyną stało? Wyglądała, jakby ktoś ją na nowo wyrzeźbił. Jace nigdy dotąd nie zwrócił uwagi na jej kości policzkowe, które teraz tworzyły w jej twarzy istotny akcent.

Szczęka mu opadła, kiedy myślał, co ma powiedzieć. Nie to jednak było najgorsze. Znacznie gorsza była świadomość, że Celie wcale nie ucieszyła się na jego widok.

Tego właśnie się obawiał. Miał jednak nadzieję, że tęsknota za domem każe jej spojrzeć na niego trochę inaczej. Niestety.

Teraz poczuł, że ogarnia go dojmująca, ssąca pustka. Co, u diabła, miał dalej robić?

Wokół niego pasażerowie bawili się w najlepsze: śmiali się, rozmawiali, zawierali nowe znajomości. Właśnie skończyli pierwszy, znakomity posiłek, którym delectowali się wszyscy oprócz Jace'a; jemu nic nie chciało przejść przez gardło, nawet homar.

Mary Lou kładła to na karb morskiej choroby, Lisa pocieszała go, że następnego dnia

poczucie się lepiej. Dopiero Deb wpadła na właściwy trop.

– Ja myślę, że tu chodzi o jego dziewczynę – stwierdziła, a mina Jace’a przekonała ją, że ma rację.

– To cię właśnie martwi, prawda? – Chciała, żeby potwierdził jej domysł.

– Wcale mnie nie martwi.

– Oczywiście, że nie. – Mary Lou uznała, że musi przyjść mu z pomocą. – Ta dziewczyna była po prostu zaskoczona. A kiedy na dodatek pojawiła się jej szefowa. .. musiała udawać, że jest chłodna i obojętna.

– Chyba że rzeczywiście taka jest – dorzuciła Deb z nutką złośliwości w głosie.

– Oczywiście, że nie – podjęła Mary Lou wojowniczo i posłała Jace’owi pocieszające spojrzenie. – Założę się, że była przejęta do szpiku kości. Mój Boże, przecież nie tak często się zdarza, że mężczyzna przemierza pół świata w pogoni za dziewczyną, którą kocha.

Kiedy to powiedziała, Jace poczuł, że jest naprawdę wyjątkowym idiotą.

Zapraszały go, by poszedł z nimi na przedstawienie, lecz odmówił, nie miał teraz ochoty na żadne rozrywki tego typu.

Lisa zapewniała go, że Celie sama do niego przyjdzie, może nawet już tego wieczoru będzie czekać na niego w kajucie. Jace jednak w to nie wierzył.

Podziękował im za dobre słowo i poszedł powąłęsać się trochę po statku. Zastanawiał się, czy mają tu stół do bilardu; mógłby wtedy udawać, że jest znowu w Elmer, „Pod Kroplą Rosy”.

W końcu rzeczywiście wylądował w barze.

Czuł, że Artie nie byłby tym zachwycony.

Westchnął i dał znak barmanowi, że zamawia jeszcze jedną whisky.

Celie nigdy nie dzwoniła ze statku do domu. Już od razu, na początku, powiedziała sobie, że nie będzie tego robić. Chodziło o jej dojrzałość. Była dorosła i nie potrzebowała już opieki ani wsparcia, umiała dać sobie radę sama.

Przez trzydzieści lat była zależna od rodziny – od matki, ale przede wszystkim od swej najstarszej siostry, Polly, która zawsze gotowa była ją wysłuchać i pocieszyć.

Na obecnym etapie swego życia Celie postanowiła z tym skończyć.

Dlatego, gdy Simone na nią wrzeszczała, gdy pasażerowie byli z niej niezadowoleni, gdy Armand ją wyśmiewał, a Yannis i Carlos zaczynali się do niej dobierać, Celie sama rozwiązywała swoje problemy. I dawała sobie z nimi radę.

Tym razem jednak, kiedy na statku pojawił się Jace Tucker, poczuła, że sytuacja ją przerasta. Drżącymi palcami nakręcała numer Polly. Trzy razy się myliła, zanim wreszcie zdołała się dodzwonić. Polly nie mieszkała już w Elmer. Kiedy tylko zaczęły się wakacje, przeniosła się razem z dziećmi na ranczo Sloana niedaleko Sand Gap.

Celie miała nadzieję, że siostra doradzi jej, co ma robić w sprawie Jace’a.

No i mogła się pożegnać ze swą dorosłością i samodzielnością.

– Celie? Co się stało? – zapytała Polly, kiedy tylko usłyszała w słuchawce jej głos.

– Nic – próbowała uspokoić ją Celie. – Naprawdę nic.

– No to dlaczego dzwonicz?

– Nie mogę zadzwonić, ot, tak sobie?

– Do tej pory nigdy ci się to nie zdarzało, więc niby dlaczego nagle miałoby się coś zmienić?

No cóż, Polly była trochę cyniczna, lecz Celie nie mogła brać jej tego za złe. Przecież to właśnie do niej zwracała się we wszystkich podbramkowych sytuacjach i to ona pomogła jej przetrwać, kiedy wyplakiwała całe wiadra łez po odejściu Matta. To Polly zachęciła ją, by zdobyła uprawnienia kosmetyczki i żeby otworzyła własny salon. Zawsze ją przekonywała, że trzeba samemu kierować własnym życiem i nie poddawać się. A kiedy Celie zdecydowała się stanąć do licytacji weekendu ze Sloanem, jej starsza siostra ani słowem nie zdradziła się, że sama jest w nim zakochana.

Polly była najlepszą, najmądrzejszą i najcudowniejszą i siostrą na świecie. Tylko że ona też miała własne życie i może nie należało dokładać jej kłopotów?

– Nie, właściwie nic wielkiego się nie stało – Celie zaczęła się wycofywać.

Polly jednak nie dałaby się zbyć byle czym.

– No więc, o co chodzi? Możesz mi chyba powiedzieć?

– Jace – padła lakoniczna odpowiedź.

– Jace? Coś mu się stało?

– Nic mu się nie stało. Jeszcze.

– A więc...

– On jest tutaj!

– Tutaj? Co to znaczy? Gdzie ty jesteś? W Elmer?

– Nie! On jest tu, na statku!

Polly na dłuższą chwilę zaniemówiła ze zdumienia, po czym zmienionym głosem rzekła cicho:

– O cholera!

– No widzisz – jęknęła Celie. – Jeśli on powie chociaż słowo na temat Matta, Sloana albo aukcji... to chyba go zabiję!

– Nie bój się, nie powie.

– Skąd wiesz? – Celie z trudem panowała nad nerwami. – Po co on tu przyjechał, jeśli nie po to, żeby narobić zamieszania?

– Może byś go o to zapytała? – podsunęła Polly.

– Pytałam i powiedział... że przyjechał po to, żeby mnie zobaczyć.

– No widzisz, chciał cię zobaczyć – powtórzyła Polly.

– Może za tobą tęsknił.

– Bo chciałby znowu się ze mnie ponaabijać? Bo w Elmer nie ma drugiej takiej ofiary losu, z której mógłby się bez końca wyśmiewać?

– A może chciał sprawdzić, jak ci się wiedzie, i nie miał żadnych złych intencji?

– Mniejsza o to – ucięła Celie. – Pytanie, co ja mam teraz z nim zrobić?

– No wiec, mogłabyś rzucić mu się na szyję i go pocałować – rzekła Polly sucho – ale podejrzewam, że nie skorzystałaś z tej możliwości.

– Nigdy w życiu. – Celie aż wzdrygnęła się na tę myśl.

– Wolę trzymać się jak najdalej od Jace’a Tuckera.

– A nie słyszałaś przypadkiem, że atak jest najlepszą formą obrony?

– Chcesz, żebym była dla niego miła? – Nietrudno było się domyślić, o co siostrze chodzi.

– To chyba nie ulega wątpliwości – odpowiedziała Polly. – Myślę, że mogłabyś się posunąć trochę dalej.

– Rzucić mu się na szyję i go pocałować?

– Na pewno byś go tym zaskoczyła.

Celie jednak nie zamierzała skorzystać z tej rady. W ogóle nie powinna była dzwonić do Polly. Trudno oczekiwać po szczęśliwej małżonce, że będzie wiedziała, co zrobić z takim utrapieńcem jak Jace. Skierowała więc rozmowę na rodzinne sprawy Polly. Zapytała ją o dzieci i o Sloana.

Przez chwilę rozmawiały o tym, że Lizzie pisze nową sztukę, a Jack właśnie dostał małego pieska i że Sloan pomaga Daisy w ujeżdżaniu jej konia. Polly opowiadała z wielkim entuzjazmem, widać było, że jest naprawdę szczęśliwa, zwłaszcza że Sloan miał spędzić z nimi na ranczo jeszcze ponad miesiąc, zanim zacznie kręcić nowy film.

Nawet problemy swej najstarszej córki, Sary, zdawała się traktować teraz z pewnym dystansem. Sara była ambitną młodą dziewczyną, która już kilka lat temu postawiła sobie wyraźny cel, że zostanie lekarką. Studiowała w wyższej szkole medycznej w Montanie i wszystko było dobrze aż do lutego tego roku.

W lutym poznała Flynnę Murraya, dziennikarza, który przyjechał do Elmer w związku z kowbojską aukcją, i od pierwszej chwili zupełnie straciła dla niego głowę.

Jak dalece sprawy wymknęły się jej spod kontroli przekonała się dopiero w miesiąc później, kiedy było już dawno po aukcji, Flynn wrócił do Nowego Jorku, a ona odkryła, że jest w ciąży. Jej dalekosiężne plany nagle się załamały, musiała całkowicie przeorganizować swoje życie, ale nie poskarżyła się ani słowem.

Długotrwały stres zrobił jednak swoje i Sara omal nie straciła dziecka.

Dopiero wtedy, w maju, w przeddzień ślubu ze Sloaniem, Polly dowiedziała się o jej ciąży. Odwołała ślub, zawiozła córkę do szpitala i dyżurowała przy niej w dzień i w nocy.

To były bardzo trudne dni dla nich wszystkich i zdawało się, że tym razem Polly jest już u granic wytrzymałości. Ona, która po śmierci męża właściwie sama wychowywała czwórkę dzieci, która wyciągała Celie z depresji i pomagała drugiej siostrze, Mary Beth, a matkę wspierała po śmierci ojca – nie wiedziała nawet, że jej własna córka jest w ciąży!

Uważała to za swoją porażkę, gotowa była zrezygnować ze swych planów osobistych i pewnie by się załamała, gdyby nie Sara, która przemówiła matce do rozsądku. Ta młoda dziewczyna postanowiła odważnie zmierzyć się z życiem, nawet jeżeli oznaczało to samotne macierzyństwo i kolidowało z jej uprzednimi planami.

– Przecież to ty nauczyłaś nas wszystkich, że życie i miłość wymagają ryzyka – przypomniała matce i od tamtej chwili Polly znów zaczęła być sobą. Wkrótce ona i Sloan wyznaczyli nową datę ślubu, który tym razem doszedł do skutku.

W osobach Sary, Polly oraz własnej matki, która niedawno także podjęła ryzyko

powtórnego zamążpójścia. Celie miała wzorce mocnych kobiet umiejących podjąć wyzwania, jakie niesie życie. To ich wpływ sprawił, że odważyła się pracować na statku.

Teraz, myśląc o tym wszystkim, odzyskała panowanie nad sobą i poczuła się pewniej.

– Dzięki, Pol – powiedziała serdecznie.

– Dzięki? Za co?

– Za wszystko – odpowiedziała Celie. – Za to, że jesteś.

– Wszystko w porządku, Cel? – Polly była zatroskana.

– W porządku. Wszystko będzie dobrze – zapewniła ją młodsza siostra i rzeczywiście wierzyła w to, co mówi.

Odwiesiła słuchawkę i wyprostowała się. Wiedziała już, jak ma postąpić z Jace'em Tuckerem.

Przenikliwy dźwięk telefonu przywołał Jace'a do stanu półświadomości. Jęknął, naciągnął poduszkę na głowę i usiłował spać dalej.

Telefon zadzwonił znowu. I znowu.

Chyba nie było innego wyjścia, jak go odebrać.

Jace z trudem otworzył oczy i niechętnie sięgnął po leżący przy łóżku telefon komórkowy, który według Artiego mógł mu się przydać w „nagłych wypadkach”.

– Tak? – zaczął niezbyt uprzejmie.

– Dosyć długo to trwało – odezwał się wesoły głos Artiego. – Czy to znaczy, że nie jesteś sam?

– O... o czym ty mówisz? – Jace powoli wracał do rzeczywistości. – Coś się stało?

– Nie, tu nic. A co u ciebie?

– Wszystko... w porządku. – To było najlepsze, co mógł powiedzieć. I może nawet sam by w to uwierzył, gdyby w głowie nie waliło mu tak, jakby pędziło tam stado galopujących koni. Po co, u licha, wypił tyle whisky?

– Widziałeś Celie?

Przypomniał sobie teraz, dlaczego tyle wypił. Nie odpowiadając Artiemu, powtórzył pytanie.

– Co się stało?

– Mówiłem ci, że nic. Z wyjątkiem faktu, że nie mogę spać, tak się o ciebie martwię.

– No to przestań.

– Nie mogę – stwierdził Artie rzeczowo. – Chyba że mnie uspokoisz; na przykład tym, że oświadczyłeś się Celie, a ona cię przyjęła.

W głosie starszka było tyle nadziei, że Jace nie wiedział, co powiedzieć. Przy tym głowa dosłownie mu pękała, a zęby szczykały.

– No tak, wiedziałem, że lepiej nie spodziewać się za dużo – Artie prawidłowo zrozumiał jego milczenie – ale przecież ją widziałeś.

– Widziałem – wydusił Jace.

– Ucieszyła się na twój widok?

– No jasne. Rzuciła mi się na szyję i całowała długo i namiętnie.

– Wiedziałem, że tak będzie! – wykrzyknął Artie z entuzjazmem, ale zaraz połapał się,

ze coś tu nie gra. – Przestań się ze mnie nabijać. Co zrobiła? Powiedz prawdę!

– Wyglądała, jakby chciała mnie oblać kwasem solnym. To był kiepski pomysł, Artie.

– Hm – mruknął starszy pan. – Nie możesz się tak od razu zniechęcać, spróbuj zadziałać.

Ona pewnie tylko udaje taką niedostępną.

– Można tak to nazwać.

– Więc ty zachowuj się tak samo. Jace jęknął.

– Artie, ty masz fioła. Ugrząłem na tym pieprzonym statku na cały tydzień. Co mam, według ciebie, robić?

Zaczynał żałować, że dał się namówić na zabranie telefonu. Teraz chciał tylko jak najszybciej zakończyć tę bezsensowną rozmowę.

– Artie, to nie jest żaden nagły wypadek.

– Musimy obmyślić dla ciebie plan działania.

– Nie potrzeba, dam sobie radę. Spróbuję po prostu mieć trochę frajdy z tego rejsu, skoro już tu jestem.

– A Celie?

– Co ma być, to będzie.

– Jace, jesteś mięczak.

– Nie jestem żaden mięczak! Chcę, żeby się do mnie przyzwyczaiła. Myślę, że ona się mnie boi.

– O, tak. Jesteś bardzo groźny.

– Artie, ja potrzebuję od ciebie moralnego wsparcia, a nie kpin.

– Dobrze, bracie. Masz swoje moralne wsparcie. Chcę wierzyć, że nie jesteś aż takim idiotą, na jakiego wyglądasz, ale uważaj, nie przeciągaj struny!

Przez cały następny dzień Celie czekała, że coś się wydarzy; może pokaże się Jace Tucker albo dotrą do niej jakieś przykre plotki na własny temat.

Nic takiego jednak się nie stało.

Pracowała tego dnia wyjątkowo długo – od ósmej rano do ósmej wieczór. Był to pierwszy dzień na pełnym morzu i na statku miał się odbyć uroczysty bankiet. Na tę okazję pasażerki chciały wyglądać pięknie, a wszystkie fryzjerki miały pełne ręce roboty.

W salonie przez cały dzień panował gwar babskich pogaduszek, lecz Celie nie usłyszała ani słowa o sobie.

Nie widziała też Jace'a.

Mogłaby nawet uwierzyć, że jej się przyśnił, gdyby nie to, że już pod koniec pracy zaczepiła ją Simone.

– Ten mężczyzna – ten kowboj – to twój kochanek? – zapytała prosto z mostu.

– Nie!

– Nie? A on mówi, że przyjechał tu do ciebie. – Simone z niedowierzaniem uniosła brwi.

– Chyba tylko po to, żeby mi działać na nerwy. – Celie nie wiedziała, jak wytłumaczyć charakter swej znajomości z Jace'em.

– Hm... zobaczymy – rzekła szefowa po chwili zastanowienia i obrzuciła Celie uważnym

spojrzeniem. – W każdym razie znasz zasady.

– Tak.

– Jesteśmy dla gości czarujące. Pozwalamy gościom zaprosić się na drinka, ale nie idziemy z nimi do łóżka – przypomniała Simone dobitnie.

– Oczywiście, że nie!

– I będziesz o tym pamiętać!

Tak jakby Celie trzeba było przypominać, żeby nie spała z Jace'em Tuckerem. Nie miała na to najmniejszej ochoty!

ROZDZIAŁ CZWARTY

Większą część tego ranka Jace spędził w łóżku, lecząc kaca. Postanowił sobie, że bez względu na okoliczności, do końca rejsu nie tknie whisky. Konsekwencje picia na statku, gdzie wszystko się chwiało, były znacznie gorsze niż na lądzie.

Na myśl o śniadaniu robiło mu się słabo, więc tylko przez drzwi poinformował Lisę, Deb i Mary Lou, że się do nich nie przyłączy, bo źle się czuje i chce się jeszcze przespać. Niczym niezrażone, obiecały zajrzeć do niego później.

Zasnął, a gdy obudziło go kolejne stukanie do drzwi, było już koło południa.

– Jak tam, kochanie? Lepiej się czujesz?

– Ś-świetnie – wychrypiał. – Doskonale. – Stwierdził, że chociaż głowa wciąż go boli, to przestało mu w niej tak niemiłosiernie dudnić.

– Wspaniale! W takim razie możesz iść na lunch.

Rzeczywiście, nie było mu już tak niedobrze, jak przedtem, a nawet burczało mu w brzuchu z głodu. Jednak powrót do pionu wciąż przedstawiał dla niego sporą trudność.

– Jeśli jeszcze nie czujesz się całkiem dobrze, możemy wezwać lekarza – zaproponowała jedna z blondynek przez drzwi.

– Nie! Nic mi nie trzeba.

– To pójdziesz na lunch? A po południu chcemy popływać, wybierzesz się z nami?

Jace raczej nie czuł się jeszcze na siłach, aby pływać, lecz nie chciał też przeleżeć całego rejsu w kajucie. Dobrze byłoby po powrocie móc chociaż pochwalić się opalenizną!

Pół godziny zajęło mu doprowadzenie się do porządku. Wziął prysznic i ogolił się, a widząc w lustrze swe podpuchnięte i zaczerwienione oczy, postanowił wziąć się w garść i postępować jak rozsądny i przyzwoity dorosły mężczyzna. Nie mógł dopuścić, by Celie doprowadziła go do pijaństwa czy obłędu.

Poszedł więc na lunch z Deb, Lisa i Mary Lou i chociaż trudno powiedzieć, by jadł z apetytem, to jednak coś zdołał przelknąć, a co więcej, odzyskał swój naturalny humor i wdzięk. Nic dziwnego więc, że gdy po posiłku wyszli na pokład, otaczał go już cały wianuszek śmiejących się i rozgadanych kobiet.

– Na rejsie nie tak często spotyka się kowboja – wyznała któraś z nich.

Jace odpowiedział szczerze, że na ogół nie mają oni czasu na takie rozrywki, a na pytanie, czym prawdziwi kowboje zajmują się na co dzień, usiadł sobie wygodnie i zaczął opowiadać.

Mówił im o rodeo, o ujeżdżaniu koni i o ciężkiej pracy na ranczu. Jego słuchaczki chłonęły chciwie każde słowo, jakby nie mogły uwierzyć, że są gdzieś ludzie, którzy żyją w ten sposób.

– To jest jak z filmu – zauważyła jedna z kobiet. – Na przykład z ostatniego filmu ze Sloanem Gallagherem.

– No, niezupełnie, proszę pani – uśmiechnął się Jace. – W filmie Sloan jest za bardzo ugrzecznony. Naprawdę on wcale taki nie jest.

– Zna go pan osobiście? – zapytała inna. Jace kiwnął głową.

– O Boże! On zna Sloana Gallaghery – rozległy się głosy podziwu, a entuzjazm wśród kobiecego tłumu wzrósł jeszcze bardziej. Panie domagały się opowieści z życia Sloana i innych kowbojskich historii.

Jace nie dał się długo prosić. Opowiedział im o tym, jak dawno temu, kiedy obaj mieli po kilkanaście lat, wdał się w bójkę ze Sloanem i rozbił mu nos. Dodał jednak uczciwie, że w kolejnej bójce Sloan odplacił mu tym samym.

– Potem zawarliśmy pokój, a później on wyjechał.

– On jest z Montany, prawda? – zapytała jakaś rudowłosa.

Jace przytaknął.

– Z tego śmiesznego miasteczka, gdzie w ostatnie walentynki zorganizowali aukcję – przypomniała sobie brunetka. – Wilmer?

– Elmore? – podsunęła blondynka.

– Elmer – rzekł Jace. I opowiedział im o Elmer, o którym czytały trochę w gazetach. Z telewizji znały też Polly, która wyszła za męża za Gallaghery, i słyszały o jej siostrze, zwyciężczyni kowbojskiej aukcji.

Jace ani słowem nie zdradził, że bohaterka tej historii znajduje się wraz z nimi na statku i sama mogłaby im o tym opowiedzieć. Wiedział, że Celie nie uważa tego za powód do dumy i niedyskrecję miałaby mu za złe.

Romantyka kowbojskiego życia najwyraźniej podziała kobietom na wyobraźnię, bo kiedy Jace skończył opowiadać, wiele z nich miało rozmarzony wzrok, a któraś stwierdziła nawet, że może lepiej byłoby pojechać do Elmer, zamiast na rejs.

– Jeszcze nic straconego – stwierdziła ruda. – Macie tam wielu samotnych kowbojów?

Jace spróbował policzyć w pamięci wszystkich wolnych chłopaków, trochę ich jeszcze było. Kobietom zaświeciły się oczy.

– Siebie też liczyłeś? – zapytała któraś.

– Ja wyczyny kowbojskie mam już raczej za sobą. W zeszłym roku miałem poważny wypadek podczas finałów rodeo i teraz muszę prowadzić spokojniejszy tryb życia. Dojrzałem do tego, żeby osiąść w Elmer na stałe.

Wiele par oczu wpatrywało się w niego z podziwem i niedowierzaniem.

– Chcę się ożenić – dodał stanowczo.

– Co byś powiedział na moją kandydaturę? – zawołała któraś z kobiet i wszystkie się roześmiały; Jace też, chociaż jakoś niezbyt mu było wesoło.

– Ja właściwie jestem zajęty, już znalazłem sobie dziewczynę.

– Ona tu pracuje – poinformowała Lisa.

– Na tym statku – zawtórowała jej Mary Lou.

– Kim ona jest? – dopytywał się zaciekawiony chór.

– Ta dziewczyna to prawdziwa szczęściara – powiedziała jakaś starsza kobieta i z sympatią poklepała go po ręce.

Jace nie miałby nic przeciwko temu, gdyby powtórzyła to w obecności Celie.

Następnego dnia statek zawinął do portu w Nassau. W salonie pracowali tylko Celie i Stevie, bo reszta personelu, podobnie jak większość pasażerów, spędzała ten dzień na lądzie.

Celie była już w Nassau kilkakrotnie, więc chętnie zgodziła się na ten dyżur. Zdecydowanie wolała pracować, niż ryzykować to, że na brzegu spotka się z Jace'em Tuckerem.

Od spotkania pierwszego dnia rejsu już go więcej nie widziała i mogłaby znów pomyśleć, że to wszystko tylko jej się przyśniło, gdyby nie pasażerki odwiedzające salon.

– Czy widziała już pani tego kowboja? – zapytała jej pierwsza klientka z widocznym przejęciem.

– Kowboja? – powtórzyła Celie ostrożnie.

– Ale przystojniak! – kobieta nie kryła podziwu. – Wpuściłabym go do łóżka o każdej porze.

– Proponował to pani? – nie mogła powstrzymać się Celie.

– Niestety! – westchnęła tamta.

Pół godziny później następna klientka zadała jej prawie dokładnie to samo pytanie.

– Czy spotkała już pani tego kowboja?

Czyżby obie miały na myśli tego samego faceta? A może chodziło o kogoś z tutejszego programu rozrywkowego? Program zmieniał się dosyć często i możliwe, że ostatnio zaangażowano kogoś nowego, kogo Celie jeszcze nie знаła.

– Ma pani na myśli artystę estradowego? – zapytała.

– Ależ skąd! On jest całkiem autentyczny. – Kobieta miała już koło sześćdziesiątki, lecz oczy jej się śmiały, gdy o nim mówiła.

– Autentyczny? – Celie zachichotała nerwowo, nie przestając jej strzyc.

– O, tak. Spotkałam go wczoraj na basenie. W tych swoich dżinsach i kowbojskich butach wyglądał rewelacyjnie. A jaki grzeczny! Mógłby udzielać lekcji dobrych manier.

To ostatnie zupełnie do Jace'a nie pasowało.

Kolejna klientka, która pojawiła się w salonie, natychmiast włączyła się do rozmowy, bo poprzedniego dnia też była na basenie.

– Tak, naprawdę jest grzeczny. A przystojny – jak młody bóg! Ciemne włosy, niebieskie oczy. I podobno zna Sloana Gallaghera.

– Naprawdę? – Celie z trudem udawała obojętność, lecz gdy usłyszała, że Jace zamierza się ustatkować i założyć rodzinę, aż upuściła nożyczki z wrażenia.

Właściwie nie była to dla niej nowość. Słyszała to od Jace'a już parę miesięcy temu, ale nie bardzo mu wierzyła.

– Gdyby chciał mnie zrobić matką swoich dzieci, to nie powiedziałabym „nie” – uśmiechnęła się klientka – ale on twierdzi, że już kogoś ma.

To było wierutne łgarstwo! Celie była o tym przekonana. Gdyby Jace Tucker rzeczywiście miał poważne plany wobec jakiejś dziewczyny, ona by o tym wiedziała. W Elmer takie wiadomości rozchodziły się bardzo szybko.

Pewnie wymyślił tę historyjkę, żeby powstrzymać trochę natarczywość współpasażerek, które inaczej nie dałyby mu spokoju.

Przez cały dzień wysłuchiwała peanów na jego cześć. Kobiety prześcigały się w wyliczaniu jego zalet. Był nie tylko zabójczo przystojny, uroczy i grzeczny, lecz umiał także zaplatać koniom warkocze, grać na gitarze i stepować. Któraś z nich stwierdziła, że jest „apetyczny”.

Celie nie chciała o tym myśleć.

Nie chciała o nim myśleć – a jednak myślała i wreszcie olśniło ją, po co Jace tu przyjechał.

Taki rejs to przecież wspaniała okazja, żeby się trochę zabawić z kobietami. Wśród pasażerów były wprawdzie małżeństwa, nieliczni samotni mężczyźni, ale przede wszystkim były to tłumy samotnych kobiet – spragnionych rozrywki i emocji, marzących o przelotnym romansie.

Cóż lepszego Jace mógłby sobie wymarzyć? Wiedział przecież, że przyciąga kobiety jak magnes, mógł więc romansować tu sobie do woli, a gdy tydzień się skończy, odjechać w siną dal.

Pracując na statku, Celie zdążyła się już nasłuchać historii kobiet, którym tacy dranie jak on złamali serce. Teraz więc wezbrało w niej oburzenie w imieniu wszystkich jego naiwnych wielbicielek, które mogły stać się ofiarami oszustwa.

Poczuła się wręcz odpowiedzialna za ich los.

Jace Tucker swym postępowaniem szargał dobre imię Elmer! Celie była o tym głęboko przekonana i postanowiła działać. Dlatego też, kiedy tylko skończyła pracę, przyczała się, czekając na pasażerów wracających z Nassau. Miała nadzieję, że go spotka i będzie mogła z nim porozmawiać. Niestety, pojawił się, ale w otoczeniu gromadki kobiet, a i potem nie opuszczał go korowód wielbicielek.

Wycofała się, a po kolacji nie mogła go już nigdzie znaleźć, choć zaglądała do sali restauracyjnej i do baru, a po zakończeniu spektaklu rozrywkowego wypatrywała go wśród publiczności.

Nie było go nigdzie i raczej nie było już szansy, że go spotka. Postanowiła więc pójść do jego kajuty, co było krokiem dość ryzykownym.

Upewniła się, że Simone w towarzystwie przystojnego przedsiębiorcy z Toronto siedzi w barze i popija drinka, a więc prawdopodobnie jest chwilowo zbyt zajęta, by kontrolować, co akurat robią jej podwładne. Gdyby szefowa złapała ją, jak puka do drzwi pasażerskiej kajuty, Celie mogłaby pożegnać się ze swą dalszą karierą fryzjerki na tym statku.

– Będiesz jeszcze tego żałować – uprzedzała jej koleżanka, Allison. Szła z nią aż do kajuty Jace’a, mając nadzieję, że wyperswaduje jej ten pomysł. Celie jednak była niewzruszona w poczuciu misji, którą sobie wyznaczyła.

Jeśli ktoś tu będzie żałował, to nie ona, ale Jace!

Głośno zabębniła w drzwi. W tym momencie Allison czmychnęła, zostawiając ją samą na placu boju.

Mijały sekundy.

Celie pomyślała, że pewnie go nie ma, i nie wiedziała, czy bardziej ją to cieszy, czy

złości, gdy nagle zaskrzypiała klamka i drzwi się otworzyły.

Przed nią stał Jace, bosy i bez koszuli, ubrany tylko w sprane dżinsy.

– Słuchaj, jestem naprawdę zmęczony, ja... – zaczął i urwał. Dopiero teraz ją poznał i krzyknął: – Celie! – Nie wierzył własnym oczom.

Tylko tego jej było trzeba.

– Wcale mnie to nie dziwi – rzekła z naganą w głosie. – Tyle kobiet naraz może człowieka wykończyć.

– Co?

– Te wszystkie kobiety – blondynki, rude i brunetki. Jednej dziewczynie właśnie ufarbowałam włosy i teraz jest platynową blondynką, w razie gdybyś rano nie mógł jej poznać.

– O czym ty, u diabła, mówisz?

– Domyśliłam się, po co tu przyjechałeś – odparła Celie lodowatym tonem.

On jakby się zmieszał.

Celie przymknęła oczy, gdyż widok na wpół obnażonego Jace'a budził w niej myśli, jakich sobie zupełnie nie życzyła.

– I chcę, żebyś z tym skończył.

Jace znieruchomiał i patrzył na nią w napięciu.

– Skończyć? Z czym mam skończyć? – nie rozumiał, o co Celie chodzi.

– Doskonale wiesz! Przecież po to tu przyjechałeś! Masz przestać uwodzić te wszystkie kobiety!

Jace drgnął, jakby od skrywanego śmiechu, a w oczach rozbłyły mu wesołe światełka.

– Dobra, przestanę – rzekł.

– Ja wcale nie żartuję. – Celie nie dawała się rozbroić.

– Okej.

– Co to znaczy, okej? – zapytała podejrzliwie.

– No, przestanę. – Jace wzruszył ramionami.

– No, dobrze. Zobaczymy, czy... – Nie zdążyła jednak skończyć zdania, gdy usłyszała głosy od strony schodów i za moment z za zakrętu korytarza wyłoniła się para – mężczyzna w smokingu i kobieta mówiąca z francuskim akcentem i raz po raz śmiejąca się perliście.

O Boże! Nie było dla niej już ratunku. Celie odepchnęła Jace'a i wpadła do jego kajuty.

– Na miłość boską, zamknij drzwi – jęknęła.

– Co? – Teraz on nie rozumiał.

– Zamknij drzwi!

Jace posłusznie spełnił ten rozkaz i nawet był całkiem zadowolony z takiego obrotu spraw.

– Niezły pomysł – zauważył.

– Wcale nie, ale to była Simone. Moja szefowa.

– Aaaa, ta Francuzka? – Jace pokiwał głową ze zrozumieniem.

Sam na sam z Jace'em, który nie spuszczał z niej wzroku i jakoś dziwnie się uśmiechał, Celie zaczynała czuć się niepewnie. Zwłaszcza że rozdzielało ich łóżko, które w tej kajucie

stanowiło akcent dominujący.

– Przestań! – rozkazała.

– O co ci chodzi?

– Przestań tak na mnie patrzeć.

– Jak?

– Tak, jakbyś... jakbyś... – przecież nie mogła powiedzieć: „jakbyś miał na mnie ochotę”.

– Co się stało? – zapytała więc. – Zabrakło ci kobiet w Montanie?

– Można tak powiedzieć.

– Mogłam się tego spodziewać! – prychnęła. – Ale nie myśl, że tu znajdziesz sobie pole do popisu.

– Nie?

– Nie – powiedziała Celie, trochę szarżując. – Ty tutaj nie pasujesz.

– A ty pasujesz? To było nie fair.

– Żadne z nas tu nie pasuje, prawda?

– Ale ja tu pracuję.

– Tylko dlatego, że uciekłaś.

– Nie uciekłam!

– Owszem, tak! Przecież miałaś w Elmer świetną pracę i było ci tam doskonale!

– O, tak – Celie mówiła z gorzką ironią. – Miałam mieszkać z matką i jej nowym mężem, czy może z siostrą i jej nowym mężem?

– Mogłaś sobie też poszukać męża i nie byłoby problemu! – wybuchnął Jace.

– A ty myślisz, że co ja tutaj robię? – Słowa Jace’a ubodły ją do żywego.

– Przecież chyba nie po to przyjechałaś tu taki szmat drogi? – Nie mieściło mu się to w głowie.

– Nie? A co miałam robić w Elmer? Powiesić w oknie kartkę, że szukam męża? A może dać ogłoszenie do gazety?

– Mogłaś rozejrzeć się dookoła, znaleźć kogoś na miejscu.

– No jasne. Na przykład Logana Reese’a? Albo Spence’a Atkinsa. Wspaniały wybór – zatwardziały stary kawaler albo gburowaty gliniarz. Dziękuję, nie są w moim typie.

– Bogu dzięki! – warknął Jace. Oddech miał przyspieszony, wpatrywał się w nią przenikliwie.

Celie cofnęła się trochę, kiedy do niej podszedł.

– No, kto tam jeszcze został? Artie? – próbowała żartować.

– Zgadnij – odpowiedział i zanim się spostrzegła, pochylił się, złapał ją w ramiona i nagle poczuła jego usta na swoich.

Celie zdarzało się już, oczywiście, całować z mężczyznami. Była przecież kiedyś zaręczona i wiedziała, co to jest pożądanie. Doświadczała go, będąc z Mattem, a potem, kiedy ją rzucił, odczuwała je bardzo boleśnie. Marzyła o pocałunkach Sloana Gallaghery, lecz on wybrał Polly, a ją całował wyłącznie po bratersku. Brakowało jej prawdziwej namiętności i miała nadzieję, że może spotka ją tu, na statku.

I oto ją spotkała. Pocałunki Jace’a oszołomiły ją swą intensywnością. Ten mężczyzna

pragnął jej ze wszystkich sił, płonął z pożądania; nie mogła się co do tego mylić.

Pewnie i ją ogarnęłaby ta fala, gdyby w ostatniej chwili nie przywołała się do rozsądku. Wyrwała mu sień odsunęła jak najdalej.

– Co ty, do diabła... ? – nie dokończyła, przygwożdżona jego płonącym wzrokiem.

– Właśnie to tutaj robię, Celie – powiedział szorstko, a jego głos był równie dziwny, jak spojrzenie.

Celie z trudem łąpała powietrze, a jej umysł pracował na przyspieszonych obrotach.

I nagle rzuciła się do drzwi, pchnęła je z całej siły i wypadła na korytarz. W biegu omal nie zbiła z nóg przechodzącej tamtędy pary.

– Mademoiselle O’Meara! – usłyszała za sobą znajomy głos, lecz nic nie było w stanie jej zatrzymać.

ROZDZIAŁ PIĄTY

No to zawałił sprawę. Zmarnował taką okazję.

Żeby to jasna cholera! Przecież wiedział, jaka Celie jest płochliwa. Doskonale zdawał sobie sprawę, że trzeba ją traktować naprawdę delikatnie, zapewnić jej poczucie bezpieczeństwa i otoczyć miłością.

A on co zrobił?

Rzucił się na nią jak barbarzyńca. W jego pocałunku nie było ani ciepła, ani czułości; był tylko rozpaczliwy, niekontrolowany głód.

A przedtem nie wiadomo po co zaczął tę głupią rozmowę o szukaniu męża. Dostał za swoje, bo Celie nawet go nie wzięła pod uwagę jako ewentualnego kandydata. Wcale się dla niej nie liczył.

Co prawda, całując ją, przez chwilę miał wrażenie, że Celie mu ulega i odwzajemnia pocałunek, lecz zaraz potem odepchnęła go i uciekła.

Chciał ją dogonić, przeprosić i uspokoić, lecz zanim zdążył się ruszyć, Celie już gnała korytarzem, niemalże rozdeptując po drodze jakąś parę.

Zamarł, słysząc pełen zdumienia okrzyk. W korytarzu stała ta koszmarna Francuzica, szefowa Celie, i patrzyła w ślad za nią. Kiedy Celie zniknęła za rogiem, skierowała wzrok na Jace'a i przez dłuższą chwilę lustrowała jego nagi tors, a dopiero potem z wyraźnym niesmakiem popatrzyła mu w oczy.

– Ach, jest i „przyjaciół” – powiedziała z jadowitą ironią.

Musiał szybko przywołać na pomoc całą swoją inteligencję, by wybrnąć z tej trudnej sytuacji. Nie trzeba było psychologa, żeby przewidzieć dalszy rozwój wypadków. Celie wyleci z pracy i oczywiście jego będzie o to winić.

Zdecydowanie nie leżało to w jego interesie.

Odetchnął głęboko, starając się zachować spokój.

– Tak, zgadza się – rzekł. – Celie i ja znamy się już kawał czasu, od dzieciństwa. Zaprosiłem ją tu, do siebie, żeby jej pokazać zdjęcia z domu. – Mówił spokojnie i rzeczowo, z nadzieją, że babsko się na to złapie.

– Zdjęcia... – Znów ogarnęła wymownym wzrokiem jego nagi tors. – Czyżby?

– Tak – potwierdził Jace z przekonaniem. – Ona trochę tęskni; mówiła o tym swojej siostrze, a siostra powtórzyła starszemu panu, u którego pracuję... – Wzruszył ramionami, jakby wniosek z tego był oczywisty. – Celie to dobry dzieciak. Jest trochę naiwna, ale poczciwa. Wie pani, ona całe życie spędziła w Elmer, ale zawsze marzyła o podróżach, aż w końcu zdobyła się na odwagę, wyruszyła w świat i podjęła pracę na statku. Proszę mi wierzyć, wszyscy jesteśmy z niej dumni, to nie było dla niej łatwe.

W jakiś przewrotny sposób rzeczywiście był z niej dumny. Jej udział w licytacji, weekend ze Sloanem i teraz ta praca dowodziły, że Celie ma mocny charakter i siłę przebiccia – choć z jej wyglądu trudno by to było zgadnąć.

– A więc przyjechał pan sprawdzić, jak jej się wiedzie? – Kobieta-smok nadal nie była

przekonana.

– Tak. Jej siostra była zdania, że Celie ucieszyłaby się, widząc kogoś z rodzinnych stron. A ponieważ ja i tak chciałem zrobić sobie małe wakacje, więc powiedziałem, że ją odwiedzę. Miałem ją przekonać, że nie jesteśmy aż tak daleko. – No i udało się – dorzucił radośnie. – Jest wyleczona.

– Wyleczona? – Smok uniósł brwi w skrajnym zdumieniu.

– Nie czuje się już samotna – wyjaśnił Jace. – Prawdę mówiąc, nie chciała nawet zostać, by pooglądać zdjęcia. Zobaczyła, która jest godzina, zerwała się i powiedziała, że na nią czas. Dlatego tak wybiegła. – Jace posłał Francuzce najbardziej czarujący ze swych uśmiechów. – Wiedziała, że rano musi wstąpić do pracy. Taka to jest nasza Celie – odpowiedzialna i obowiązkowa.

– Mhm.

Nie miał pojęcia, do jakiego stopnia uwierzyła w to, co mówił. Jako francuska dama, potrafiła zachować dobre maniere i może dlatego nie nazwała go kłamcą.

– O, tak, Celie jest naprawdę obowiązkowa – odparła z wymuszonym uśmiechem. – I pracowita. Przy tym rzeczywiście, tak jak pan mówi, jest trochę zbyt naiwna... i zbyt niewinna. – Nie jest dobrze odwiedzać mężczyznę w jego kajucie – zakończyła, świdrując go wzrokiem.

– Jesteśmy przyjaciółmi, już to mówiłem – rzekł Jace stanowczo. – Przyjechałem tu, żeby zobaczyć, jak jej się wiedzie, i trochę wesprzeć ją moralnie.

– Już się pan z nią zobaczył, prawda? Czyli, jak mówią, misja została wykonana. Celie ma swoją pracę.

To stwierdzenie nie podlegało dyskusji. Jace mógł tylko przytaknąć, a francuski smok skonkludował lodowato:

– Cieszę się, że się zgadzamy. Rozumie pan chyba, że leży to w interesie wszystkich, żeby Celie więcej tu pana nie odwiedzała. – Z miną generała, który wygrał batalię, obdarzyła go łaskawym uśmiechem. – A więc dobranoc, monsieur – zakończyła i wzięwszy pod rękę swego towarzysza, który cierpliwie czekał na koniec tej rozmowy, odmaszerowała z nim w głąb korytarza.

Jace wszedł do kajuty, zamknął za sobą drzwi i głęboko odetchnął. Nie mógł ochłonać po tym, co się stało.

Pocałował Celie O'Meara! W gruncie rzeczy przyznał, że przyjechał tu, żeby się z nią ożenić. A ona uciekła mu, gdzie pieprz rośnie.

Zadzwoił telefon.

– No i jak? – zabrzmiał w słuchawce głos Artiego. – Robisz jakieś postępy?

Celie przemierzała górny pokład w tę i z powrotem, chcąc trochę ochłonać i uspokoić skłębione myśli. Na wargach wciąż jeszcze czuła gorący dotyk ust Jace'a.

Jace Tucker rzeczywiście ją pocałował?

Przecież on jej nawet nie lubi! A może?

Zawsze myślała, że nie darzy jej sympatią. Głupia i nudna Celie O'Meara nie zasługiwała

przecież na uwagę takiego faceta jak Jace Tucker.

Może się myliła?

Na myśl o tym, że mogliby stanowić parę, przeszedł ją dreszcz. O Boże!

Doszła na sam dziób statku i przystanęła. Oparta o barierkę i wpatrzona w atramentowe niebo nad głową, usiłowała zapanować nad emocjami. Bezskutecznie przywoływała na pomoc swój zdrowy rozsądek.

Celie po raz pierwszy w życiu przeżywała coś takiego. Od chwili gdy Jace ją pocałował, czuła się jak w gorączce. Chciała, by wciąż ją przytulał i całował bez końca. Czy to możliwe, że pragnęła... Jace'a?

Zadrżała i znów podjęła swą wędrówkę. W głowie jej wirowało, a ciało płonęło z pożądania i nawet chłodny morski powiew nie przynosił ulgi. Ledwie dostrzegała srebrzysty sierp księżyca i gwiazdy jak klejnoty pobłyskujące na aksamitnym niebie.

Wszystko przesłaniał jej obraz Jace'a, który nieustannie miała przed oczami. Wciąż na nowo przeżywała w pamięci tamten pocałunek i słowa: „Właśnie to tutaj robię, Celie”.

Powracało do niej wszystko, co wtedy powiedział; że mogła poszukać sobie męża, rozejrzeć się dookoła, znaleźć kogoś na miejscu.

Przystanęła, wpatrując się w ciemność i rozważając, co to mogło znaczyć.

Czyżby przyjechał tu, żeby... żeby się do niej zalecać?

Wydawało jej się to tak nieprawdopodobne, że aż pokręciła głową. To do Jace'a po prostu nie pasowało.

Czyżby?

Pomyślała, że Jace Tucker jej pragnie, i usiłowała się do tej myśli przyzwyczaić. Powtarzała to sobie raz po raz, delektowała się tą myślą, starała się z nią oswoić. Na ustach wciąż czuła smak jego ust.

Jace Tucker jej pragnie.

Nie. To coś więcej niż tylko pożądanie. On chce się z nią ożenić!

Nie wyraził się tak dosłownie, ale to chyba miał na myśli. Rozmawiali przecież na temat małżeństwa.

Próbowała powiedzieć na głos zdanie: „Jace Tucker chce się ze mną ożenić”, ale język odmawiał jej posłuszeństwa.

Jace Tucker miałby się z nią ożenić? Nie. To niemożliwe.

Kiedy jednak po raz kolejny odtwarzała w myśli przebieg ich spotkania, dodawała do siebie słowa i fakty, ukoronowane pocałunkiem – wynik zawsze zawierał się w tym jednym zdaniu.

Żałowała teraz, że nie wy dobyła z niego jasnej deklaracji, o co mu chodzi. Wręcz przeciwnie, przeraziła się i uciekła!

– Jace Tucker chce się ze mną ożenić? – Te słowa w końcu przeszły jej przez gardło, lecz wyłącznie jako pytanie. Nie potrafiła powiedzieć tego w formie twierdzącej. Stała wpatrując się w ciemność za burtą i poczuła, że ogarnia ją niezwykła fala... czego? Spokoju? Radości? Zadowolenia?

Dotychczasowe napięcie minęło i ku swemu zdumieniu Celie zaczęła chichotać i śmiać

się coraz głośniejsze, zupełnie bez sensu, aż do łez.

To przecież absurd, żeby ona i Jace Tucker... A jednak.

Nie wierzyła, że to prawda, a jednak bardzo chciała wierzyć.

I to także było dla niej zaskoczeniem.

Odkąd sięgnęła pamięcią, marzyła, że znajdzie swą drugą połowę. Kiedyś sądziła, że już ją znalazła w osobie Matta. Później te tęsknoty oderwały się od rzeczywistości i karmiły się fantazjami na temat Sloana. Pozwoliły jednak Celie zachować nadzieję i miejsce w sercu dla mężczyzny jej życia, jeśli w końcu go spotka.

Czy tym wyczekiwany mężczyzną miał być Jace?

Czy ją kochał?

Czy ona go kochała?

Bóg jeden wie, że nigdy o tym nie myślała. Przez wiele lat go nie znosiła, choć – musiała to przyznać – wzbudzał jej zainteresowanie.

Podziwiała jego radość życia i żywiołowość. Fascynowała ją łatwość, z jaką nawiązywał kontakty z ludźmi, a przede wszystkim z kobietami. Jednocześnie z pewnym lękiem odnosiła się do swobodnego, niczym nieskrępowanego stylu życia Jace'a i obawiała się jego wpływu na Matta w czasach, gdy wędrowali razem od rodeo do rodeo.

Życie pokazało, że te obawy były słuszne. Matt wybrał kowbojską włóczęgę, a ją porzucił.

Od tamtej pory Celie zaczęła odczuwać do Jace'a jedynie niechęć.

Była przekonana, że on odwzajemnia to uczucie. W ciągu tych kilku miesięcy, kiedy pracowali razem, robił, co mógł, żeby ją drażnić, i gdzie tylko się obróciła, wszędzie się na niego natykała.

Sądziła, że robi jej na złość, ale teraz zaczynała mieć wątpliwości, czy rzeczywiście tak było. Intrygowało ją to i zadziwiała.

Pocałował ją, a ona wpadła w panikę i nie sprostała sytuacji. Teraz żałowała, że uciekła tak szybko. Drogę powrotu zamykała jej jednak Simone, która krążyła gdzieś po korytarzach w głębi statku i tylko czekała, żeby wylać ją z pracy.

Dziwne, lecz ta ewentualność wcale nie wprawiała Celie w nerwowe drżenie. Nie myślała o Simone.

Jej myśli bez reszty zajmował Jace.

Pod wpływem jego pocałunku czuła się przemieniona, zaciekawiona, chciała więcej wiedzieć i więcej doznawać.

Miała nadzieję, że następnego dnia ona i Jace wszystko sobie wyjaśnią. Po tym, jak Simone wyrzuci ją z pracy, będą mieli masę czasu na rozmowy.

Wiedziała, że tej nocy nie zmruży oka, lecz kto by o to dbał?

Już przed siódmą Celie była na nogach. Chciała być gotowa, gdy przyjdzie Simone i zakomunikuje jej, że straciła pracę i może zbierać manatki. Tak właśnie było z Trący. Szefowa zastała ją jeszcze w koszuli nocnej i kazała jej się natychmiast pakować. Celie oczekiwała tego samego.

Jej koleżanka, Allison, otworzyła jedno oko i zapytała, co się dzieje, lecz zbyła ją

informacją, że nie może spać. Chociaż kusiło ją, żeby się wygadać, nie wtajemniczyła swej współlokatorce w wypadki ubiegłego wieczoru. Nie chciała, żeby cały statek plotkował na jej temat. Kiedy Simone ją wyleje, i tak nie da się tego uniknąć.

Całkowicie ubrana siedziała więc na łóżku i czekała na to, co nieuchronnie miało nadejść. Nie poszła nawet na śniadanie, bo obawiała się publicznej konfrontacji z szefową.

Kiedy było za pięć ósma, Celie domyśliła się, że Simone czeka na nią w salonie i tam wyleje ją na oczach całego personelu. Musiała jednak iść do pracy.

Simone już tam była; elegancka i w pełnym makijażu rozmawiała właśnie z dwoma pasażerkami, lecz na widok Celie przerwała i podniosła się z miejsca.

– Proszę do mnie na słówko, mademoiselle O’Meara – powiedziała. Podczas gdy jej szkarłatne wargi wypowiadały te słowa, palec o długim, spiczastym i równie szkarłatnym paznokciu wskazywał Celie drzwi do gabinetu szefowej.

Tym sposobem miała uniknąć publicznego ogłoszenia wyroku, za co była szczerze wdzięczna.

– Proszę wejść, mademoiselle. I proszę zamknąć za sobą drzwi.

Celie posłusznie wykonała polecenie i wzięła głęboki oddech. Postanowiła, że wszystko grzecznie wyjaśni, a potem spokojnie stąd odejdzie.

– Jeśli chodzi o ostatni wieczór... Poszłam do...

– Teraz ja mówię, mademoiselle. Proszę słuchać – przerwała jej Simone prawie natychmiast.

Ta kobieta była nadal jej przełożoną, więc Celie nie protestowała. Poza tym była dobrze wychowana, a sytuacja, w jakiej się znalazła, nie była dla niej ani zręczna, ani miła. Czowała się jak niegrzeczna uczennica wezwana na dywanik do dyrektora, lecz mało ją to obchodziło. Oczekiwała swego losu jako czegoś nieuniknionego.

– Rozmawiałam z twoim przyjacielem – zaczęła Simone.

– Z moim przyjacielem?

– Z mężczyzną z tamtego pokoju – wyjaśniła Simone cierpliwie. – Powiedział mi, dlaczego tam byłeś. Podobno zaprosił cię, żeby pokazać ci zdjęcia z domu.

Celie wpatrywała się w nią zażenowana i nie była w stanie wydusić ani słowa. Jace zrobił coś takiego?

– Oczywiście, sama rozumiesz, że to niedobrze. – Simone pogroziła jej palcem. – Nie chodzimy do kajut pasażerów. Pamiętasz, jak wam to powtarzałam?

– Tak, psze pani.

– Ale ja rozumiem, co to jest tęsknota za domem. Trudno to wytrzymać.

– Taaak.

– Jesteś tu nowa, mademoiselle O’Meara, więc tym bardziej cię rozumiem. Ale to się ma więcej nie powtórzyć. Tak? – Popatrzyła na nią przenikliwie.

– Uhm – wymamrotała Celie.

– Tak – sama odpowiedziała za nią Simone. – Odpowiada się: tak. Rozumiesz? No to dobrze. A teraz najwyższy czas zabrać się do pracy. – I na znak, że rozmowa skończona, otworzyła drzwi.

Celie stała nieporuszona, jakby nagle wrosła w podłogę. Więc szefowa jej nie wyrzuciła? Jace skłamał, żeby ją ratować? Dlaczego to zrobił?

– No i na co czekamy, mademoiselle? – Simone zaczynała tracić cierpliwość. – Twoja pierwsza klientka czeka.

– Tak, tak. Już idę. – Celie wreszcie oprzytomniała i ruszyła się z miejsca.

Z radością uświadomiła sobie, że jednak nadal tu pracuje.

Przez cały dzień miała nadzieję, że Jace do niej przyjdzie.

To był dzień na pełnym morzu, a ponieważ wiało dość mocno, statek chwiało się i kołysał na falach. Celie jednak trwała dzielnie na swym stanowisku pracy, zwłaszcza że czekała na Jace'a i wiedziała, że tutaj bez trudu może ją znaleźć.

Przez cały ranek strzygła i czesała klientki, raz po raz zerkając w lustro, czy nie przyszedł. Niestety.

Po południu pracowała w gabinecie masażu i na wszelki wypadek poprosiła koleżanki, żeby dały jej znać, gdyby się pojawił.

Minęło popołudnie, Celie skończyła pracę, a on nie dał najmniejszego nawet znaku życia. Była już mocno zaniepokojona i nie rozumiała, co się stało. Po tym wszystkim, co jej wczoraj powiedział, nie mógł przecież tak nagle zniknąć.

Pomyślała, że Jace jest nie mniej atrakcyjny niż Sloan Gallagher i bez kłopotu mógłby mieć każdą kobietę, której by zapragnął. Ona sama była przy nim szarą myszką, przynajmniej we własnych oczach.

Znów zaczęły ją męczyć wątpliwości i chociaż przypominała sobie jego słowa, przypiętowane pocałunkiem, uznała, że musi to wszystko wyjaśnić.

W tym celu znów będzie musiała wybrać się do jego kajuty.

Wychodząc, minęła się z Simone, która posłała jej przeciągłe, znaczące spojrzenie, jakby czytała w jej myślach.

Celie, niby nigdy nic, uśmiechnęła się do niej promiennie. Wiedziała, że bez względu na wszystko musi zobaczyć się z Jace'em i przynajmniej podziękować mu za to, że obronił ją przed szefową.

Wzięła prysznic i przebrała się w strój, który zawsze dodawał jej odwagi i pewności siebie – eleganckie czarne spodnie i czerwoną jedwabną bluzkę.

Tego wieczoru odwaga była jej bardzo potrzebna.

Następnie wykonała bardzo staranny makijaż, zgodnie z wszelkimi tajnikami tej sztuki, których nauczyli ją Simone, Stevie i Birgit. Allison mówiła, że w ten sposób przybiera się „barwy wojenne”.

Niełatwo było tego dokonać, gdyż wzmagający się sztorm rzucał statkiem, a podłoga tańczyła pod nogami. W końcu jednak Celie uznała, że jest gotowa.

Kiedy szła do kajuty Jace'a, myślała tylko o tym, dlaczego się u niej nie zjawił. Dręczyło ją to i złościło.

Stanąwszy przed jego drzwiami, poczuła się idiotycznie. Była tu nie tak dawno, chcąc ukrócić jego uwodzicielskie zapędy. O Boże!

Wciąż jeszcze mogła wycofać się i odejść.

Nie, nie mogła. Musiała pomóc losowi.

Zastukała do drzwi.

Nie było odpowiedzi.

Czekała, przestępując z nogi na nogę i zaciskając dłonie ze zdenerwowania. Zadrżała na widok jakiejś pary, która wyłoniła się z załomu korytarza, lecz na szczęście tym razem nie była to Simone.

Cóż, najwyraźniej go nie zastała. Wziąwszy pod uwagę poobiednią porę, nie było to takie dziwne. Jace zapewne miło spędzał czas w towarzystwie swoich blondynek. Możliwe, że został zaproszony do stołu kapitańskiego wraz z ośmioma najpiękniejszymi pasażerkami. Niewykluczone, że właśnie teraz był nawet z którąś z nich w łóżku...

W tej chwili drzwi się otworzyły i ukazała się w nich nieogolona twarz Jace'a. Zobaczył Celie i jęknął.

– O co chodzi? – zapytała.

Wyglądał strasznie. Ubrany byle jak, włosy miał nastroszone i rozczochrane. Mimo opalenizny widać było, że jest blady.

– Jace? – Nie rozumiała, co się stało.

Pewnie zamknęłyby jej drzwi przed nosem, gdyby przezornie nie wsunęła stopy w szczelinę.

– Żeby to szlag! – zaklął niewyraźnie.

Jeszcze raz spróbował zamknąć, ale Celie popchnęła mocniej i prawie wywracając go, weszła do środka.

– Co ty wyprawiasz? – zapytała.

Jace popatrzył na nią bezradnie, wzruszył ramionami, przeszedł parę kroków i padł na łóżko.

– Mam morską chorobę – powiedział z trudem.

Jace czuł się tak fatalnie, że wolałby umrzeć. Po głowie tłukły mu się paniczne myśli.

Kto, u diabła, wymyślił statki? Gdyby Pan Bóg chciał, żeby ludzie pływali, to stworzyłby spokojne i płaskie morza. Jak ktokolwiek może żyć i funkcjonować w takich warunkach?

Po co tu w ogóle przyjechał?

Dla Celie. Przyjechał tu, aby ją zdobyć. To Artie wpadł na ten pomysł i Jace chętnie by go teraz za to zamordował.

Tej nocy prawie nie zmrużył oka. Z jękiem przewracał się w łóżku z boku na bok, zamartwiając się, co Celie sobie o nim myśli.

Wiedział, że rano musi ją znaleźć i opowiedzieć o swej rozmowie z jej szefową. Chciał ją też uspokoić, że tamten pocałunek nie był podyktowany żadnymi złymi intencjami.

Nie żałował go jednak – przeciwnie, delectował się tym wspomnieniem.

Nie mógł spać, więc wstał i chodził po pokoju. W głowie mu dudniło, myśli stawały się coraz bardziej chaotyczne.

W pewnej chwili poczuł się dziwnie i nawet nie wiedział, że to początek morskiej choroby. Podłoga chwiała mu się pod nogami, światła zaczęły kołysać się i migotać. Na sam ich widok czuł zawroty głowy i musiał się położyć. Nie na wiele to jednak pomogło.

Spróbował podnieść się z łóżka, ale zdołał tylko dowiec się do łazienki i zwymiotował. Odtąd z każdą chwilą czuł się gorzej.

– No to mamy sztorm – wesoło zagadnął steward, który przyszedł sprzątać kajutę, lecz Jace tylko jęknął. Nie chciał nawet lekarstwa, które mogłoby mu pomóc, bo na samą myśl o przełknięciu czegokolwiek dostawał mdłości.

Przeleżał w łóżku cały dzień i dwukrotnie odprawił z kwitkiem blondynki, które wstępowały po niego, idąc na lunch i na kolację.

Po pewnym czasie znów usłyszał pukanie do drzwi, lecz postanowił nie reagować. Był pewien, że to znów któraś z nich, zaopatrzona w odpowiednie medykamenty, przysłała ulżyć jego cierpieniu.

Pukanie jednak nie ustawało i tak boleśnie rozlegało się w jego głowie, że wreszcie zdecydował się otworzyć.

Podniósł się z trudem i zrobił parę chwiejnych kroków, a kiedy szarpnął drzwi, stanął oko w oko z Celie.

– O cholera. – Nie mogła trafić gorzej. Dzisiaj nie był w stanie z nią rozmawiać, lecz zanim zdążył zamknąć jej drzwi przed nosem, wparowała do kajuty i wcale nie miała zamiaru wyjść. Zupełnie wyczerpany padł z powrotem na łóżko.

– Długo już jesteś w takim stanie? – zapytała.

– Od zawsze – mruknął z twarzą w poduszce.

– Brałeś coś na to?

– Nie.

– Ale trzeba. Jeśli nic nie weźmiesz, będziesz się czuł jeszcze gorzej. Zaraz ci coś przyniosę.

Chciał potrząsnąć głową, ale wywołało to następną falę mdłości, więc rzucił się do łazienki, zatrzaskując za sobą drzwi.

Upokarzała go ta sytuacja, nie mógł dopuścić, żeby Celie zachowywała się jak Florence Nightingale dyżurująca u jego wezgłowia. Mężczyzna musi zachować chociaż resztki godności.

Celie jednak działała teraz szybko i zdecydowanie i już po chwili wróciła z lekarstwem.

– Wypij to! – rozkazała.

– Nie.

– Tak. Próbuję ci pomóc.

– No to mnie zastrzel.

– Przykro mi – odpowiedziała z wesołością w głosie. – Nie mam broni. No, wypij to, Jace. Obiecuję, że to ci pomoże. Barman zaklinał się, że to niezawodny środek.

– Barman? – Jace aż się wzdrygnął na wspomnienie swego niedawnego kaca. W takim stanie nie mógł nawet myśleć o alkoholu. Celie jednak zdawała się czytać w jego myślach.

– To nie jest alkohol – uspokoiła go. – No, wypij.

– A jak wypiję, to sobie pójdiesz? – Znów jęknął i podniósł na nią mętny wzrok.

– Nie ma mowy. – Celie poważnie potrząsnęła głową, a jej ciemnobłękitne oczy wydały mu się w tej chwili szczególnie piękne. Mówiła cicho, czule i z troską. – Musimy

porozmawiać, Jace. Na temat wczorajszego wieczoru.

– Ja nie... naprawdę nie... – Nie potrafił jednak nic wytłumaczyć, szczególnie teraz.

– Nie myślałeś wtedy poważnie? – odpowiedziała z wahaniem.

Wyczuł w jej głosie niepokój i lęk. Celie brała sobie do serca każde jego słowo. Musiał natychmiast rozwiązać jej wątpliwości.

– Jak najbardziej poważnie – stwierdził z przekonaniem.

W tym momencie Celie uśmiechnęła się i Jace miał wrażenie, że całą kajutę rozjaśnia słońce. To był jej anielski uśmiech – jasny, czysty i radosny. Pamiętał, że uśmiechała się tak kiedyś, trzymając w ramionach malutkie dziecko, kiedy odwiedzała Artiego w szpitalu i kiedy składała życzenia swej matce i Waltowi po ich ślubie. Nigdy jednak nie uśmiechała się tak do niego.

Teraz łagodnie pogłaskała go po włosach i po policzku.

– No, Jace, wypij to. – Podała mu szklanę.

Przemógł się i wypił miksturę, która okazała się wstrętą. Przełknięcie jej było męką. Potem, zupełnie wykończony, opadł na poduszki.

– Jesteś zadowolona? – wymamrotał.

Celie przysiadła na jego łóżku i potrząsnęła głową.

– Zadowolona? – powtórzyła. – No, jeszcze niezupełnie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

To był najdziwniejszy sen, jaki kiedykolwiek mu się śnił.

On i Celie leżeli razem w łóżku; obejmowali się. Ona głaskała go pieszczotliwie po włosach. Zdawało mu się, że go pocałowała... a potem usnęli.

Obudził się w skłębionej pościeli, oszołomiony i zdezorientowany. Właściwie wcale nie chciał wracać do rzeczywistości i za wszelką cenę starał się zapamiętać ten sen, przywołać go z powrotem chociaż na chwilę.

Kiedy już oprzytomniał i rozejrzał się po pokoju, stwierdził, że światła przestały migotać i w głowie mu nie dudni, a na nocnym stoliku zauważył pustą szklankę. W tym momencie olśniło go, że może to wcale nie był sen.

Celie była tu z nim naprawdę.

Wyciągnął rękę i sprawdził, lecz druga połowa łóżka była pusta. Tylko wgnieciona poduszka i odrzucony niedbale koc świadczyły, że ktoś tu leżał. Jace wtulił twarz w poduszkę i chciwie chłonał delikatny, świeży zapach Celie.

Ona tu była – była i zniknęła.

Dlaczego? Pamiętał jak przez mgłę, że dotknęła jego policzka, uśmiechnęła się i powiedziała:

– Pójdę zameldować się u Simone, zaraz wrócę.

Jak dawno to mogło być? Stracił już poczucie czasu, lecz słońce stało wysoko na niebie, wskazując, że jest już późno. Dlaczego nie wróciła?

Może coś jej się odmieniło? Czyżby we śnie dopuścił się jakiegoś niewybaczalnego przewinienia? Pamiętał tylko, że przechorował prawie całą noc, męczył się nieprzytomnie i całkiem się rozkleił. Rzeczywiście, żaden powód do dumy. Ale Celie nie zostawiła go i była z nim przez cały czas. Mogła przecież odejść zaraz po tym, jak zmusiła go do wypicia tej ohydnej mikstury. A ona nie tylko siedziała przy nim, lecz nawet wślizgnęła się do niego pod koc i usnęli, obejmując się nawzajem.

Przez dziesięć lat wyobrażał sobie, że idzie do łóżka z Celie O'Meara, ale nigdy nie było to tak jak teraz! I dzięki Bogu!

A jednak...

Było coś niezwykłego, czystego i autentycznego w tym, że tak po prostu przy sobie leżeli. Nie zdarzyło mu się to jeszcze z żadną kobietą.

– Coś takiego – mruknął sam do siebie. Celie była pierwszą kobietą, z którą tylko spał – w dosłownym rozumieniu tego zdania.

Dość niepewnie usiadł na łóżku, oczekując kolejnej katastrofy, ale nic sienie stało. Nie skręcało go w żołądku i pokój już się nie kołysał. Wyglądało na to, że kryzys minął.

Teraz mógł wstać, wziąć prysznic i doprowadzić się do porządku.

Potem zamierzał odnaleźć Celie – i poważnie z nią porozmawiać.

Celie wyszła od Jace'a właściwie w ostatniej chwili. Pobieгла do kajuty, przebrała się jak zwykle do pracy, po czym popędziła do salonu. Sądziła, że zamelduje się tylko u Simone i

zaraz będzie wolna.

Tego dnia statek wchodził do portu i można było wyjść na ląd, ale Celie marzyła tylko o tym, żeby szybko wziąć prysznic i wrócić tam, skąd właśnie przyszła.

Spotkała ją jednak przykra niespodzianka. Mogła się pożegnać ze swym wolnym dniem, o czym Simone poinformowała ją od razu i bez zbędnych skrupołów.

Zachorował Stevie i trzeba go było zastąpić, bo Allison nie dałaby sobie sama rady. Stevie był fryzjerem i masażystą i dla szefowej nie ulegało wątpliwości, że to właśnie Celie, która też zajmowała się masażem, miała przejąć na ten dzień jego obowiązki.

Słowo Simone było rozkazem i nie było od niego odwołania.

Celie westchnęła. Pozostawało jej tylko mieć nadzieję, że Jace się domyśli.

Przybrała swój zwykły, zawodowy uśmiech i zwróciła się do pierwszej klientki, zapraszając ją na fotel.

– Tęskniłam za tobą w nocy – syknęła Allison, konając z ciekawości, gdzie Celie była. – Co ty wyprawiasz?

– Nic – odparła z uśmiechem Celie i nawet nie minęła się z prawdą. Spędziła noc u mężczyzny – w łóżku Jace’a Tuckera! – i nic więcej z tego nie wynikło.

Na przemian robiło jej się zimno i gorąco na myśl o tym, co mogło się między nimi wydarzyć.

Póki co, ta noc, kiedy przyglądała się śpiącemu Jace’owi, głaskała go po włosach i tuliła, była najwspanialszą nocą jej życia. Co obrazuje tylko, jak żalosną egzystencję wiodła do tej pory.

Tymczasem myślała głowę klientce i rozmawiała z nią o wyspie, do której mieli wkrótce dopłynąć, i o wszystkich atrakcjach, jakie zapowiadał program rejsu.

Była to „wyspa marzeń”, oferująca wszystkie atrakcje, jakie można by sobie wyobrazić: czystą plażę dla entuzjastów pływania; rafę, przy której można nurkować; łódzie o szklanym dnie, deski surfingowe i narty wodne. Można też było grać w siatkówkę, a dla utalentowanych artystycznie organizowano konkursy na najpiękniejszą budowlę z piasku. Dużą atrakcją był też pokaz karaibskiego tańca limbo, a już specjalność wyspy, karaibska pieczeń z rożna, stanowiła rewelację, której trudno się oprzeć.

To była naprawdę frajda i Celie była już tu kilkakrotnie, teraz więc z zapałem odpowiadała na pytania klientki. Jednak przez cały czas jej myśl krążyła wokół Jace’a.

Czy już się obudził? Czy w ogóle pamięta, że ona z nim spała?

Dla niej była to niezapomniana noc.

Naprawdę nie chciała opuszczać go tego ranka. Nic właściwie nie zostało powiedziane ani ustalone, prawie ze sobą nie rozmawiali. Dotyk zastępował im słowa; zresztą nigdy rozmowa nie szła im łatwo.

Ich kontakty w ogóle były na tyle szorstkie, że Celie z trudnością myślała teraz o sobie i o nim w kategorii „my” – jak gdyby byli parą. Jak można tworzyć parę z kimś, z kim od lat żyło się niczym pies z kotem?

Może się więc myliła?

Raz po raz odtwarzała w pamięci wydarzenia ostatniej nocy i chyba wspomnienia uniosły

ją zbyt daleko, bo w pewnym momencie klientka, którą właśnie strzygła, zaczęła głośno protestować.

– Mówiłam, żeby tylko wyrównać! Wyrównać, nie skracać!

Celie rzeczywiście się zagalopowała i teraz usiłowała szybko załagodzić sprawę, bo Simone zza szyby swego gabinetu obrzuciła ją groźnym spojrzeniem.

Uznała, że bezpieczniej będzie skupić się na razie na pracy, a wszelkie inne myśli odłożyć na później.

Nie na wiele jednak zdało się to postanowienie, bo kiedy nagle zobaczyła w lustrze odbicie stojącego tuż za nią Jace'a, o mało nie obcięła swej nieszczęsnej klientce ucha.

– Najmocniej panią przepraszam! – wydusiła przerażona, lecz zaraz się odwróciła, zaabsorbowana bez reszty tą niespodziewaną wizytą.

– Co ty tu robisz? – zapytała.

Musiała przyznać, że Jace odzyskał formę. Był ogolony, uczesany i schludny i tylko lekka bladość twarzy przypominała jego niedyspozycję sprzed kilku godzin. W swych spranych wranglerach i myśliwskiej koszulce polo wyglądał tak atrakcyjnie, że nie tylko Celie, ale i klientki w salonie nie odrywały od niego wzroku. Podobnie jak Allison i Marguerite, a nawet Simone.

– Mówiłaś, że zaraz wracasz. – Jace popatrzył na nią z wyrzutem.

– Bo tak miało być, ale Stevie zachorował, więc go zastępuję.

– Musimy porozmawiać. – Jace jakby nie zauważył, że wzbudza ogólną sensację. Wydawało się, że dostrzega tylko ją – i nikogo więcej. Celie także widziała teraz tylko jego.

Nagle kącikiem oka zauważyła, że Simone podnosi się z krzesła i najwyraźniej zmierza w ich kierunku.

– Nie teraz – powiedziała szybko, lecz szefowa już była przy nich.

– Aaa, jest przyjaciel. – Simone posłała Jace'owi lodowaty uśmiech i zmarszczyła brwi. – Zdawało mi się, że już ze sobą rozmawialiśmy.

– Tak, pamiętam. – Jace wcale się nie spieszył. – Teraz muszę porozmawiać z Celie.

– Celie jest zajęta. Czy chce pan zamówić wizytę?

– Nie, on tylko...

– Owszem, tak – potwierdził Jace stanowczo. – Chcę umówić się z Celie.

Simone drgnęła; nie spodziewała się z jego strony tyle tupetu. Otworzyła jednak notatnik i sprawdziła plan pracy na ten dzień.

– No, niestety. Obawiam się, że dziś to już niemożliwe – powiedziała po chwili, z widoczną satysfakcją. – Mademoiselle O'Meara nie ma już wolnych terminów ani na strzyżenie, ani na masaż. Jaka szkoda! – Towarzyszył temu fałszywy uśmiešek.

– Masaż? – Jace był wyraźnie zainteresowany.

– Masaż leczniczy i relaksujący – odparła Simone sucho – dla rehabilitacji. Rozumie pan?

– O, tak, rozumiem. – Jace uśmiechnął się przy tym tak szatańsko, że Celie zdrętwiała na myśl, jak przyjmie to jej szefowa.

Rzeczywiście, Simone zaczynała już tracić cierpliwość.

– Jeśli życzy pan sobie wizytę u Allison... – zaproponowała.

– Nie.

– W takim razie bardzo mi przykro. Przepraszam pana, ale...

Delikatnie, lecz stanowczo zaczęła wypychać Jace'a za drzwi w podobny sposób, jak ojciec Celie zaganiał uparte woły.

Jace nawet nie drgnął. To już była konfrontacja i wszystkie obecne w salonie kobiety wstrzymały dech.

W końcu Jace wzruszył ramionami i obróciwszy się na pięcie, poszedł w stronę wyjścia.

Już przy samych drzwiach popatrzył znów na Celie i rzekł krótko: – Ja tu wrócę.

Zastanawiała się, czy on ma zamiar napaść na salon. Wydawało się to raczej mało prawdopodobne, lecz Jace Tucker był nieobliczalny.

Do drugiej Celie strzygła klientkę za klientką pod czujnym okiem Simone. Potem przeszła do gabinetu masażu, gdzie było względnie spokojnie. Cicha muzyka celtycka i woń olejku migdałowego unosząca się w powietrzu stwarzały miłą, kameralną atmosferę, sprzyjającą rozmyśleniom i marzeniom.

Masując swych klientów, sama też się uspokajała, bez ryzyka, że w chwili nieuwagi utnie komuś ucho.

Pracowała wytrwale przez całe popołudnie i właśnie przygotowywała stół do masażu dla ostatniej tego dnia osoby. Sprawdziła na liście jej nazwisko i nacisnęła brzęczyk informujący, że można wejść.

Jej ostatnią klientką miała być Gloria Campanella, nazywana na statku „pierwszą damą”, zdrowa, zamożna, osiemdziesięcioletnia wdowa, która większą część roku spędzała w rozmaitych rejsach, pływając od portu do portu w poszukiwaniu Bóg wie czego.

Może to był jej sposób na samotność?

Odkąd Celie tu pracowała, pani Campanella brała już udział w trzech rejsach. Ubrana zawsze nienagannie, z kieliszkiem martini w ręce, czuła się na statku jak w domu. Jej ulubieńcem był Stevie, który regularnie czesał ją i masował.

W tym momencie drzwi się otworzyły i wszedł Jace.

– Co ty tu... ? – Celie nie dokończyła.

– Nie mogłem tyle czekać.

– Ale... pani Campanella! Musisz natychmiast stąd zniknąć! Ona dostanie szału, narobi hałasu. Simone się wścieknie!

– Simone nie musi nic wiedzieć.

– Ale się dowie. Pani Campanella...

– Pani Campanella zmieniła zdanie.

– Gdzie tam! Nigdy w życiu!

– A jednak! Przekupiłem ją.

– Nie wierzę! – Celie szeroko otworzyła oczy.

– Wcale jej tak bardzo nie zależało, żebyś ją masowała.

– Jace zrobił poważną minę, po czym dodał wesoło: – Ona woli tego chłopaka.

– Tak, ale...

– Postawiłem jej martini i wysłuchałem historii jej życia. To samotna staruszka, która lubi mężczyzn. A szczególnie – zmrużył oko – kowbojów.

Celie z trudem mieściło się to w głowie. Jakoś nie mogła sobie wyobrazić eleganckiej, dystygowanej pani Campanelli w towarzystwie Jace’a, w dżinsach i koszuli.

– Więc ona... – Celie wciąż obawiała się, że jej klientka zaraz nadejdzie, zagniewana, że musiała czekać.

– Jest teraz zajęta planowaniem swej podróży do Elmer – uspokoił ją Jace. – Obiecałem jej, że w zamian za tę godzinę masażu załatwię jej randkę z pięćdziesięcioletnim kowbojem.

– Z Artiem? Artie i Gloria Campanella? O Boże!

– No, pomyślałem, że tyle mogę zrobić dla dobra sprawy.

– Dla jakiej sprawy?

– Dla nas.

A więc jednak! Wreszcie powiedział to wyraźnie. Chodziło o nich dwoje, Celie O’Meara i Jace’a Tuckera, co było niemal równie szokujące, jak Artie Gilliam do pary z Gloria Campanella.

Spotkali się wzrokiem, Jace miał oczy bardziej niebieskie niż morze.

– Czy ty... – zaczęła Celie nerwowo. – Czy naprawdę przyjechałeś tu... ze względu... na mnie?

– Tak – odpowiedział.

– A ja myślałam... Myślałam, że nie możesz mnie znieść.

Wyglądał na zdumionego.

– Co ty mówisz? Dlaczego?

– Kiedy przyjechałeś do mnie z Mattem... tego dnia, kiedy wybieraliście się razem w drogę... ledwie na mnie spojrzalesz. Nie chciałeś mieć ze mną nic wspólnego.

Jace zamilkł na dłuższą chwilę i sprawiał wrażenie zakłopotanego.

– Nie mogłem – rzekł wreszcie.

– Czego nie mogłeś?

– Patrzeć na ciebie! Chcieć od ciebie czegokolwiek!

– Ale dlaczego? – Celie wpatrywała się w niego ze zdumieniem.

– Bo byłeś dziewczyną Matta, nie rozumiesz? Facet nie może mieć ochoty na dziewczynę swojego kumpla.

Celie z trudem układała sobie to w głowie. Obraz Jace’a, jaki nosiła przez tyle lat, nagle zaczął się zmieniać. Więc miał na nią ochotę? Pragnął jej? Nie do wiary. A jednak...

– Ach – wyjąkała, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Ach. Masz rację. – Jace zacisnął usta. – Myślałem, że lepiej będzie nie mieć z tobą do czynienia.

– Ty i Matt... – zaczęła Celie niepewnie. – Czy ty... ?

– Nie, to nie ja wyperswadowałem mu to małżeństwo. To chyba chciałeś wiedzieć?

Kiwnęła głową.

– Więc to nie ja, przysięgam. Może byłem dla niego złym przykładem, w tamtych

czasach rzeczywiście niezły był ze mnie numer, ale to, co robił Matt – robił na własny rachunek.

– Chciał być do ciebie podobny.

– Tym większy z niego dureń.

Jace zrobił parę kroków, żeby jakoś rozładować energię, odwrócił się.

– Bardzo mi przykro, że tak wyszło, Celie. On mógł ci powiedzieć, że nie jest gotów do małżeństwa, zamiast cię ranić. Ale prawdę mówiąc, lepiej dla ciebie, że za niego nie wyszłaś.

– Wiem – przyznała cicho. – On dawał mi to do zrozumienia, ale ja nie chciałam rozumieć. Wolałam swoje marzenia, kochałam je bardziej niż prawdziwego Matta, który był tylko środkiem do ich realizacji. Dobrze, że stało się tak, jak się stało.

– Taaak. Chyba wtedy jeszcze tak nie myślałaś... Znienawidziłaś mnie.

– Tak.

– I to trwało przez długie lata.

Celie kiwnęła głową, lecz ponieważ patrzył na nią pytająco, czuła, że musi coś wyjaśnić.

– Ty wiedziałeś, jaką jestem nieudacznicą, dlatego nie mogłam cię znieść.

– Co? – Jace wybałuszył oczy ze zdumienia.

– Przecież Matt mnie rzucił!

– Matt był idiotą. Zdawało mi się, że to już ustaliliśmy.

– Nnnie – wyjąkała Celie. – On musiał się jeszcze wyszaleć, ale ja myślałam... myślałam, że inna kobieta umiałaby go zatrzymać. Tylko ja... byłam... taka do niczego. – Zaczerwieniła się gwałtownie, sama nie wierzyła, że mu to mówi.

Jace był wstrząśnięty. Podeszedł bliżej, objął ją i mocno przytulił. Przemawiał do niej czule, pieszczotliwie powtarzał jej imię. Potem ją pocałował.

Był to pocałunek równie zachłanny i namiętny, jak ten sprzed dwóch dni. Była w nim tęsknota, pragnienie i pożądanie. I Celie nie miała już powodu, by mu się opierać. Odwzajemniła pocałunek, a było w nim wszystko to, czego nie zdołałaby przekazać słowami – cała prawda o bólu i cierpieniu, o latach samotności i pustki, o marzeniach i nadziejach, które się właśnie odradzały. To Jace pierwszy się od niej oderwał.

– Dosyc – zamruczał. – Chyba że chcesz zgorszyć tę twoją koszmarną szefową.

– Naprawdę byłaby zgorszona! – Celie zachichotała.

– Ale po co nam to? – Jace uśmiechnął się na wspomnienie Simone. – Lepiej chodźmy tam, gdzie nikt nam nie będzie przeszkadzał.

– Nie mogę.

– Co? Dlaczego, u licha?

– Nie mogę stąd wyjść. Do szóstej pracuję. Ona będzie sprawdzać.

– No i co z tego? – Jace nie był specjalnie przejęty.

– To jest moja praca!

– Okej, w porządku, no to pracuj.

– O co ci chodzi, co mam robić? – nie rozumiała Celie.

– Przecież przyszedłem na masaż.

– Chcesz masaż? – Wyraz zdumienia na jej twarzy powoli zamieniał się w uśmiech.

– A może stchórzysz? – prowokował ją, sam nie wiedząc, co go czeka.

– No, zaraz zobaczymy, kto tu stchórzy – odpowiedziała kpiąco.

Masaż w wykonaniu Celie rzeczywiście okazał się dla niego trudną próbą i już wkrótce pożałował swoich przechwałek.

Zgodnie z jej poleceniem rozebrał się do spodenek i leżąc na brzuchu na stole do masażu, poddał się jej fachowemu dotykowi. Nie przewidział, jak szybką i gwałtowną reakcję wywoła to w jego ciele, podniecenie niedwuznacznie dało o sobie znać.

Uspokój się, chłopie, upominał sam siebie. Jeśli miał przetrwać jakoś tę godzinę, powinien mieć same czyste myśli lub powtarzać sobie w kółko tabliczkę mnożenia.

– Jesteś bardzo spięty – stwierdziła Celie.

– Raczej napalony – poprawił ją Jace.

– Zajmiemy się tym – obiecała.

Zaskoczyła go ta odpowiedź, lecz Celie wcale nie sprawiała wrażenia speszzonej.

Jednak wbrew oczekiwaniom Jace'a nie zrobiła mu masażu erotycznego, lecz skrupulatnie delikatnym dotykiem badała jego ciało, bezbłędnie odnajdując dawne blizny i bolesne miejsca. Klepała i ugniatała na przemian, żeby rozluźnić jego napięte mięśnie, i robiła to coraz mocniej, aż chwilami zagryzał zęby, żeby nie krzyknąć z bólu.

– Celie, jesteś sadystką? – nie wytrzymał w końcu.

– Nie, ale muszę cię rozluźnić. Zobaczysz, jak świetnie ci to robi – wyjaśniła, nie przerywając masażu.

Rzeczywiście, systematycznie odszukiwała miejsca najrozmaitszych jego dawnych urazów. Rozpoznała od razu, które żebra miał złamane i skąd pochodziły jego dolegliwości kręgosłupowe. Pocierała te miejsca i ugniatała najpierw lekko i delikatnie, potem coraz głębiej i bardziej zdecydowanie, z niezaprzeczalną wprawą. Kiedy masowała mu szyję, przeszedł go dreszcz i dostał gęsiej skórki.

Chociaż tego rodzaju kontakt cielesny nie miał nic wspólnego z seksem, Jace poczuł, że go to uspokaja, podobnie jak ostatnia noc, kiedy spał w objęciach Celie jak dziecko.

Potem pracowała nad jego nogami, ze szczególną troskliwością nad tą, którą złamał podczas ostatnich finałów. Przyzwyczał się do myśli, że ta noga już zawsze będzie go boleć, lecz teraz Celie udowadniała mu, że wcale tak być nie musi. Tak długo naciągała ją, klepała i gniotła, aż ustąpiło zdrętwienie i mięśnie się rozluźniły.

– Pomogło? – zapytała po dłuższej chwili.

– Aaach, jeszcze jak! Dzięki.

– To drobiazg – odpowiedziała skromnie. – No i co? Ciągle jesteś taki napalony?

W tym momencie uświadomił sobie z zakłopotaniem, że już mu minęło. Czyżby Celie nabrała ochoty na seks?

Teraz dotykała go już zupełnie inaczej, intymnie. Jej palce wędrowały w górę po jego udach, przesunęły się po pośladkach, zatrzymały na gumce jego spodenek.

Nic więcej nie było mu trzeba, żeby momentalnie znów poczuć się mężczyzną.

Odwrócił się i spojrzał na nią wymownie.

– Celie?

Uśmiechnęła się i spojrzała na zegarek. W jej oczach tańczyły wesołe isierki.
– Czas minął.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Co za licho podkusiło ją, żeby to zrobić? Po godzinie porządnego, profesjonalnego masażu pozwoliła sobie na gesty, które nie tylko nie miały nic wspólnego z profesjonalizmem, lecz były jawną prowokacją. Po prostu nie wytrzymała i zrobiła coś, czego chciała już od dawna. Właściwie mogła cały ten masaż potraktować w sposób erotyczny, lecz na to nie pozwalała jej etyka zawodowa.

Nawet jeśli chodziło o Jace'a.

Poza tym szybko zorientowała się, że jej umiejętności zawodowe naprawdę są mu potrzebne. Jace, podobnie jak większość kowbojów z rodeo, miał masę urazów i kontuzji. To należało do całości przedsięwzięcia, na ból nie należało się skarżyć. Jace nie był tu wyjątkiem.

Będąc z nim ostatniej nocy w łóżku, Celie uważnie przyjrzała się jego bliznom, zrostom i innym śladom burzliwego kowbojskiego życia, a przez ostatnią godzinę robiła, co mogła, aby mu pomóc.

Nawet gdyby Simone zajrzała wtedy do gabinetu masażu, nie mogłaby mieć żadnych zastrzeżeń do jej pracy.

Z wyjątkiem tych ostatnich kilku sekund, kiedy w Celie zwyciężyła kobieta spragniona seksu i miłości.

Jace przekreślił się na stole tak szybko, że omal z niego nie spadł.

– Ty sama o to prosisz, Celie – powiedział.

– Naprawdę? – Niewinnie zatrzepotała rzęsami. Zeskoczył ze stołu tak lekko, jakby wszystkie jego kontuzje były igraszką, pochwyił ją w pasie i przyciągnął do siebie. Widziała, jak bardzo był podniecony.

– Nie zaczynaj czegoś, czego nie zamierzasz dokończyć – mruknął cicho.

– Ja chcę to dokończyć – powiedziała Celie – ale nie tutaj.

Jej dzień pracy dobiegł już końca. Jace wziął ją za rękę i wyprowadził z gabinetu, wciąż niespokojny, że Celie nagle zniknie, a niezwykle sen znów się rozwieje.

Czuł się onieśmielony i zakłopotany jak nastolatek.

Z chwilą gdy zamknęli za sobą drzwi jego kajuty, odwaga opuściła go do reszty. Na przemian drżał i pocił się, brzuch bolał go ze zdenerwowania.

Wydawało mu się czymś niewiarygodnym, że oto on, Jace Tucker, osławiony kobieciarz, wpada w panikę na myśl o pójściu z dziewczyną do łóżka.

Rzecz w tym, że nie chodziło o jakąś tam dziewczynę. Do tej pory dla Jace'a seks sprowadzał się do dobrej zabawy we dwoje i był doznaniem czysto fizycznym, pozbawionym jakiegokolwiek głębszego znaczenia. Mimo że w łóżku starał się traktować swe partnerki jak najlepiej, to zawsze potrafił odejść, nie oglądając się wstecz.

Teraz wszystko się zmieniło. Celie nigdy by nie zostawił. Pragnął jej nie tylko ciałem, lecz całą swoją istotą – sercem, umysłem i duszą. Chciał kochać się z nią jak najpiękniej, dać

jej radość, szczęście i poczucie bezpieczeństwa. Chciał jej pokazać, jak bardzo ją kocha.

Jak na faceta, który zawsze głosił hasła miłości bez zobowiązań, była to sytuacja całkiem nowa i napawająca lękiem.

Celie przyglądała mu się ciekawie, zupełnie nieświadoma trapiących go w tej chwili oporów i wątpliwości. Powoli zaczynała się rozbierać.

W tym momencie Jace oprzytomniał. To była jego rola!

Rzucił się do niej, potykając się prawie o czubki własnych butów. Ręce mu drżały, gdy zdejmował jej bluzkę, a potem nieporadnie rozpinął koronkowy stanik. Spojrzał, czy Celie się z niego nie śmieje, i zobaczył, że drżą jej wargi. To go trochę pocieszyło.

Sycił wzrok widokiem jej pełnych, jędrnych piersi, wyzwolonych nagle z wszystkich osłon. Pieścił je i całował, pełen zachwytu i uwielbienia. Celie stała nieruchomo, słyszał jej płytki, niespokojny oddech.

– Jace! – krzyknęła, gdy powędrował ręką niżej, lecz zaraz i ona objęła go mocno i przyciągnęła do siebie. Potem zdjęła mu koszulę i zaczęła pieścić jego plecy, a jej dotyk w niczym nie przypominał profesjonalnych gestów masażystki. Była równie przejęta i głodna bliskości, jak on. Jej pieszczoty stawały się coraz gorętsze i bardziej niecierpliwe, aż Jace poczuł, że musi ją powstrzymać.

– Ostrożnie – wymruczał, ale Celie potrząsnęła tylko głową.

– Wystarczająco długo byłam ostrożna, nie chcę już dłużej czekać – powiedziała, rozpinając mu pasek. Jej słowa podziałały jak oliwa wlewana do ognia. Jace pojął, że nie da się zahamować namiętności, i wszystkie jego skrupuły nagle przysły, a lęk zamienił się w pożądanie.

Czekał przecież tak długo, miał wrażenie, że od zawsze.

– Czy jesteś pewna? – zapytał.

Celie nie musiała jednak odpowiadać, dała mu to poznać w inny, niedwuznaczny sposób.

W szaleńczym tempie uwalniali się od ubrania, które jeszcze dzieliło ich od siebie, aż padli na łóżko splecieni uściskiem.

– Weź mnie – szepnęła Celie. I tak się stało.

Nareszcie, pomyślała.

Oto spełniały się jej marzenia i fantazje snute przez tysiące pustych i samotnych nocy. Jace Tucker robił z nią cudowne rzeczy, głaskał, dotykał i całował, chciał, żeby było jej dobrze.

Otworzyła przed nim swoje ciało i serce, przyjęła go w siebie, jak ziemia przyjmuje deszcz i to było najlepsze, co kiedykolwiek jej się zdarzyło. Kochając Jace'a, odnajdywała swoją drugą połowę. A on, pieszcząc Celie i dając jej rozkosz, zbierał okruchy jej rozbitych marzeń i na nowo sklejał je w całość.

Przestraszył się, widząc łzy w jej oczach, kiedy leżeli jeszcze ciasno objęci, zmęczeni, z trudem łapiąc oddech.

– O Boże! Zrobiłem ci krzywdę? – Na tę myśl zakłuło go w sercu.

Jeszcze nigdy żadna kobieta przez niego nie płakała. Celie jednak uśmiechnęła się przez łzy.

– Nie, skądże – zapewniła. – Było cudownie, wspaniale. Ty jesteś cudowny, Jace. Nie martw się, ja za zawsze płacę, kiedy jestem szczęśliwa.

On też był szczęśliwy. Szczęśliwszy niż kiedykolwiek przedtem.

Pożądanie już po chwili ogarnęło ich na nowo, więc znów się kochali, lecz tym razem wolniej i czulej, inaczej niż za pierwszym razem.

Wtedy zadzwonił telefon.

– Tak? – warknął Jace niecierpliwie, podnosząc słuchawkę.

– Chciałem się tylko dowiedzieć, czy robisz jakieś postępy – odezwał się wesoło Artie.

– Tak – odpowiedział Jace. – I daj mi spokój.

Celie już od bardzo dawna wyobrażała sobie przeróżne romantyczne sceny ze sobą w roli głównej. Marzyła o wyprawach w dzikie góry, o nocnych spacerach przy księżycu i o nastrojowych kolacjach przy świecach. W takiej lub jeszcze bardziej niezwykłej scenerii ona i wybranek jej serca wyznawali sobie dozgonną miłość.

Nigdy jednak nie przypuszczała, że stanie się to tak, jak się stało naprawdę.

Nazajutrz przez cały dzień byli na morzu i Celie oczywiście pracowała. Zależało jej bardzo, aby Jace nie wchodził już Simone w drogę. Szefowa łatwo mogłaby się czegoś domyślić, a to z pewnością nie ułatwiłoby im sytuacji.

On dość mało przejmował się szefową, lecz wiedział, że z trudem wytrzyma cały dzień rozłąki z Celie. Mimo nocy, którą mieli za sobą, pragnął jej znowu i najchętniej cały czas spędzałby z nią w łóżku.

– Jace, ja tu pracuję. Muszę robić, co do mnie należy. – Celie starała się trochę ostudzić jego zapędy.

– Ale jutro masz wolne, prawda? Dopływamy do St. Maarten.

– Tak, chyba że Stevie jeszcze będzie chory i znowu będę musiała go zastąpić.

– Na pewno do jutra wyzdrowieje. – Jace zdawał się o tym przekonany.

I rzeczywiście. Kiedy następnego dnia Celie pojawiła się na poranną odprawę u Simone, Stevie już tam był, rześki, wesoły i gotów do pracy. Miała więc wolny dzień i mogła razem z Jace'em spędzić go na wyspie. Simone chyba niczego nie podejrzewała, bo o dziwo, nie robiła tym razem trudności.

To był dzień, o jakim zawsze marzyła. Uliczki Philipsburga, miasta portowego holenderskiej części wyspy St. Maarten, tętniły życiem. Wypełniał je wielobarwny tłum turystów. Słońce prażyło mocno, tylko na plaży czuło się lekki wietrzyk od morza.

Nic jednak nie miało znaczenia wobec faktu, że mogli cieszyć się tym dniem wspólnie. Tuż obok siebie, trzymając się za rękę, przepychali się przez zatłoczone uliczki. Jace kupił Celie słomkowy kapelusz, ona zaś uparła się, że musi mu kupić szorty i sandały, bo dzinsy i kowbojki, z którymi się nie rozstawał, zdecydowanie nie pasowały do tutejszego klimatu.

– Nie wiem, co masz przeciwko moim butom i dzinsom – protestował Jace, kiedy Celie zaciągnęła go do jakiegoś sklepiku z odzieżą.

– Nic nie mam przeciwko nim – odpowiedziała. – Dzinsy i kowbojki nosi się w Montanie, ale nie tutaj. Byłoby ci w nich za gorąco. Poza tym dodała, kiedy z niewyraźną miną wyszedł z przymierzalni w szortach – lubię patrzeć na twoje nogi.

To stwierdzenie zawstydziło go jeszcze bardziej, szczególnie że asystujący im sprzedawca uśmiechnął się.

Celie jednak zupełnie nie czuła się zakłopotana. Naprawdę lubiła patrzeć na jego nogi, w ogóle lubiła mu się przyglądać. Musiała teraz szybko nadrabiać to, że całymi latami unikała Jace'a, jak tylko mogła.

Kiedy w końcu dokonali zakupu i sprzedawca podał mu torbę z zapakowanymi džinsami i butami, Jace nie tylko był cały czerwony ze wstydu, lecz z przerażeniem i niesmakiem patrzył na swoje blade, owłosione nogi. Czuł, że kowbojowi taki strój nie przystoi.

– Czuję się, jakbym był goły – poskarżył się.

– Ani trochę – pocieszyła go Celie. – Tylko tobie tak się wydaje, ale jeśli chcesz naprawdę być goły, możemy iść na plażę.

– Na plażę nudystów? – zakpił Jace.

– Jeśli masz ochotę.

– Dobra, idziemy – zdecydował, przekonany, że Celie żartuje.

Swą edukację w tym kierunku Celie zawdzięczała Armandowi. Kiedy pierwszy raz zabrał ją na plażę i odkryła, że stroje plażowe tu nie obowiązują, wpadła w lekką panikę i ku jego rozczarowaniu nie zdjęła kostiumu. Podobnie, kiedy była tam jeszcze dwukrotnie.

Teraz przyprowadziła tu Jace'a i nie wiedziała, co zrobi, jeśli on ochoczo wyskoczy z ubrania. Martwiła się jednak przedwcześnie. Tylko spojrział, otworzył usta ze zdumienia i natychmiast zaczął ją ciągnąć w przeciwnym kierunku.

– Mowy nie ma! – oświadczył kategorycznie.

– Nie chcesz się rozebrać? – uśmiechnęła się Celie.

– Ja? – wzruszył ramionami, jakby taka możliwość nawet nie przeszła mu przez myśl. – Do diabła, mnie nikt nie będzie oglądał, ale nie pozwolę, żeby jacyś faceci ślinili się na twój widok!

Kawałek dalej znaleźli inną plażę, gdzie oboje rozebrali się do kostiumów, chlapali się i pływali w czystej, błękitnej wodzie. Potem, kiedy już trochę wyschli, zaczęli myśleć o lunchu, a oferta gastronomiczna na wyspie była wyjątkowo szeroka; od restauracji ze świetną kuchnią francuską do nibytoamerykańskich barów serwujących hamburgery. Wybrali ogródkową kawiarenkę, skąd mogli przyglądać się przechodniom, i zamówili owoce morza smażone w cieście i piwo.

W pewnej chwili Celie stwierdziła, że właściwie patrzą tylko na siebie nawzajem. Jace karmił ją z ręki i w pewnej chwili z rozpędu zaczęła ssać jego palec.

– Może byśmy wrócili na statek? – zaproponował nieśmiało. Tak bardzo chciał znowu być z nią sam na sam.

Ona jednak uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

– Jeszcze nie.

Ten dzień był zbyt piękny i niezwykły, by nie wykorzystać go do końca. Wiedziała, że zachowa go w pamięci do końca życia.

Po lunchu powalęsali się jeszcze trochę po mieście, zaglądając do sklepów. Można tu było kupić wszystko, poczynając od diamentów i najdroższych zegarków, po muszelki i T-

shirty z różnymi bzdurnymi napisami. Celie chciała kupić prezenty dla swojej mamy i Walta, dla dziecka Sary, które miało się niebawem urodzić, i dla Artiego.

– Tyle mu zawdzięczam – powiedziała. – Właściwie oboje zawdzięczamy mu to, że się w końcu odnaleźliśmy.

Musimy wybrać jakiś naprawdę wystrzałowy prezent. Jace jęknął.

– Ty poszukaj. Ja bym się jeszcze napił piwa. – Kiwnięciem głowy wskazał na bar po drugiej stronie ulicy, skąd dobiegały dźwięki muzyki reggae. Celie zrozumiała, że nawet w taki bajkowy dzień nie może oczekiwać od niego zapału do zakupów.

– Dobrze, spotkajmy się w tym barze za godzinę – zgodziła się i ruszyła szukać prezentów.

Dla matki i jej męża kupiła album do ich zdjęć z podróży. Tego lata, na przykład, byli w Wietnamie i na pewno dużo fotografowali, więc album im się przyda, pomyślała. Dla dziecka Sary kupiła kombinezon w palmy i ananasy i płytę z piosenkami dziecięcymi w stylu reggae.

Trudniej było znaleźć coś dla Artiego.

Co można kupić dziewięćdziesięcioletniemu mężczyźnie, który może nie ma wszystkiego, lecz z pewnością posiada to, co mu jest potrzebne?

Uznała, że Artie ciekaw jest ich rejsu, i dlatego jemu też kupiła album do zdjęć, a prócz tego dwa tanie aparaty fotograficzne, aby oboje z Jace'em mogli dokumentować dla niego wszystkie miejsca, które odwiedzali. Słusznie mu się to należało, bo gdyby nie upór Artiego, Jace nigdy nie wybrałby się na ten rejs i mogliby boczyć się na siebie do końca życia, tak jak przedtem.

Sporo się nachodziła, zanim pozatratowała wszystkie zakupy. Wreszcie, usatysfakcjonowana, popędziła z powrotem na spotkanie z Jace'em.

Siedział w barze i popijał piwo w towarzystwie trzech blondynek ze statku.

Widząc, że jest w towarzystwie kobiet, Celie poczuła, że dobry humor szybko ją opuszcza.

Jednak Jace rozpromienił się na jej widok i natychmiast podniósł się z miejsca. Zostawił piwo i pożegnawszy blondynki, podszedł do Celie.

– No to dokąd teraz chcesz iść? – zapytał, biorąc ją za rękę.

Zbliżał się wieczór i niedługo musieli wracać.

– Może pójdziemy po prostu na klify i popatrzymy stamtąd na plażę? – To Armand pokazał jej te klify nad plażą Cupecoy i w jej najświeższych wyobrażeniach one właśnie służyły za scenerię do romantycznej przechadzki z wymarzoną mężczyzną.

– Brzmi to zachęcająco – przyznał z uśmiechem.

Zrobił jej zdjęcie przed barem, a potem ona jemu. Z kolei poprosili jakiegoś przechodnia, żeby sfotografował ich oboje razem.

– To dla Artiego – powiedziała – żeby miał udział w naszym rejsie.

– Tylko częściowo – zaznaczył Jace. – Nie może się wtrącać we wszystko.

Celie z uśmiechem kiwnęła głową.

W drodze na klify sfotografowali jeszcze inne miejsca, które odwiedzili na St. Maarten, a potem wzięli taksówkę, by zawiozła ich na miejsce.

– Pół godziny – powiedział Jace kierowcy.

Było dokładnie tak, jak to sobie wymarzyła. Słońce już zachodziło, nadając niebu barwy różu, oranżu i fioletu. Lekka, morska bryza rozwiewała jej włosy i pieściła opalone policzki.

– Prawda, że pięknie? – zapytała.

– Mhm – mruknął, nie patrząc wcale na morze. Patrzył tylko na nią. Wziął ją za rękę i przyciągnął do siebie, a potem objął ją i pocałował.

Jego usta miały smak morza i słońca, były ciepłe, mocne i czułe. Celie odwzajemniła pocałunek i wszystko działo się tak, jak w jej marzeniach. Wypełniła ją miłość i szczęście; zapragnęła, by ta chwila trwała w nieskończoność.

Wtem Jace przestał ją całować i cofnął się trochę.

Celie nie wiedziała, co się stało.

Patrzył na nią w napięciu, nie odrywając od niej ciemnych oczu.

– Kocham cię – powiedział. – Czy wyjdiesz za mnie? Na to pytanie Celie знаła tylko jedną odpowiedź.

– Tak, tak – szepnęła i zarzuciła mu ręce na ramiona.

ROZDZIAŁ ÓSMY

– To tylko pokładowy romans, nic więcej – skonkludowała Simone, przygważdżając Celie surowym spojrzeniem.

– Wcale nie – protestowała Celie. – Poza tym nie poznałam go na statku, znamy się od lat.

– Hm. – Simone z niezadowoleniem potrząsnęła głową. – Wszystko jedno, każdy wie, że takie pokładowe romanse nie trwają długo.

– A nasz potrwa – upierała się Celie. – Postanowiliśmy się pobrać! Ustaliliśmy nawet datę ślubu. – Na dowód pomachała jej przed oczami dłonią z zaręczynowym pierścieniem. Dostała go od Jace’a zaraz po oświadczeniach.

Zdumiała się wtedy na widok małego czarnego pudełeczka pokrytego aksamitem, które wyciągnął z kieszeni. W środku pięknie połyskiwał pierścionek z brylantem.

Okazało się, że nie tylko ona robiła na wyspie zakupy. Jace w tym czasie, w tajemnicy, odwiedził sklep jubilera.

Do tej pory nie mogła uwierzyć, że to wszystko prawda. Nawet kiedy patrzyła na złoty pierścionek na swym serdecznym palcu, zdawało jej się, że śni.

– Romans pokładowy! To długo nie potrwa – powtórzyła znowu Simone z przekonaniem i westchnęła. – A jeżeli zrezygnujesz z pracy przed upływem półrocznego kontraktu, Celie, to nie będziesz już mogła wrócić.

– Wcale nie chcę wracać – odpowiedziała Celie niezbyt grzecznie. – Nie zamierzałam tu pracować do końca życia. Chciałam tylko zobaczyć kawałek świata, poznać ludzi...

– Znaleźć sobie mężczyznę – dodała Simone.

– No tak – przyznała Celie, rumieniąc się. – Ale naprawdę nie przypuszczałam, że to będzie Jace.

Okazało się jednak, że to właśnie on. Jego obecność na statku i ten pierścionek stanowiły niezbite dowody.

– Ślub będzie trzeciego października – poinformowała szefową.

Jace proponował, żeby pobraли się od razu, na statku.

– Przecież tak się czasem robi – przekonywał ją.

Celie jednak miała już własną koncepcję. Chciała, żeby ich ślub odbył się w Elmer, uroczyste, w obecności wszystkich krewnych i znajomych. Miało jej to zrekompensować tamtą nieudaną ceremonię sprzed lat, kiedy Matt wycofał się nagle, ośmieszył ją i upokorzył.

– Jesteś tego pewna? – Jace nie był tym pomysłem zachwycony.

– Tak, chcę mieć ślub u siebie.

Teraz, podczas rozmowy z szefową, Celie była równie nieugięta. Wręczyła jej wymówienie i oświadczyła, że nie zamierza tu wracać.

– Wszystkie tak mówią. – Simone znowu westchnęła i pokiwała głową. – A dwa miesiące później...

Celie nie zwracała na to uwagi. Szefowa mówiła o nieszczęsnych, naiwnych kobietach,

które zostały oszukane i porzucone przez mężczyzn, ale to nie odnosiło się przecież do niej. Jej historia była całkiem, ale to całkiem inna.

Matka Celie i Artie przyjechali po nich na lotnisko.

– Czy to prawda? – pytała Joyce z przejęciem. – Artie mówi, że chcecie się pobrać?

Chyba bała się trochę, że starszy pan wymyślił to tylko dla kawału.

Celie, rozpromieniona, wyciągnęła w jej stronę rękę z pierścionkiem i to rozwiało wszelkie wątpliwości.

– Och, kochanie, jak cudownie. – Joyce uściskała córkę serdecznie, po czym równie serdecznie uściskała swego przyszłego zięcia.

Artie też nie krył swojej radości, zwłaszcza że czuł się w pewnym sensie współautorem tego szczęśliwego wydarzenia.

– Mówiłem ci, że się uda – żartobliwie kuksnął Jace'a w bok.

– Sam dałbym sobie radę. – Jace uśmiechnął się z pewnym zażenowaniem.

– Może i tak – prychnął Artie – tylko kiedy? Do licha, chłopie, przecież ja nie będę żył wiecznie, a chciałbym jeszcze zatańczyć na waszym weselu. Dlatego musiałem cię trochę popchnąć, żebyś zaczął działać szybciej.

Jace zrobił minę lekko obrażoną.

– Cieszę się, że wróciłaś, panienko – powiedział Artie do Celie i przytulił ją po ojcowsku. Ona także nie kryła swojej radości.

Jak dobrze było wrócić w rodzinne strony!

Joyce zaprosiła ich wszystkich na obiad i zaproponowała córce, aby zamieszkała z nią i jej mężem. Walt właśnie skończył budować nowy dom na ranchu w pobliżu Elmer.

Celie wolała jednak zamieszkać w swoim domu rodzinnym, który należał teraz do Polly, a odkąd Polly wraz z dziećmi przeniosła się na rancho Sloana, stał pusty.

– Jeśli tylko Polly nie będzie miała nic przeciwko temu – zaznaczyła grzecznie.

– Na pewno nie – uspokoiła ją matka.

O swych dalszych planach, o tym gdzie będą mieszkać po ślubie, musieli jeszcze porozmawiać. Celie myślała o ponownym otwarciu swego salonu piękności, Jace chciał zająć się hodowlą koni i zbudować własny dom na ranchu, gdzie mieszkała jego siostra Jodie z mężem.

Tymczasem odebrał bagaż i poprowadził wszystkich w stronę parkingu.

– Jeszcze pomyślimy, jak to będzie – powiedziała Celie, która aż promieniała ze szczęścia. – Na razie mamy pilniejsze sprawy do ustalenia, na przykład ślub.

W oczach jej matki odbił się wyraz niepokoju i Celie dobrze wiedziała, że to na wspomnienie ceremonii sprzed f lat, która nie doszła do skutku.

– Myślałem, że może pobraliście się na statku powiedział Artie.

– Nie – odpowiedziała Celie. – Przecież nasz ślub nie mógł odbyć się bez ciebie, Artie. Chciałam wyjść za mąż w Elmer, w obecności rodziny i przyjaciół.

– Nie martw się, mamo, teraz przyjęcie się uda – dodała z uśmiechem.

– Mnie tam wszystko jedno, mógłbym ożenić się z Celie w każdej chwili i w każdym miejscu – oświadczył Jace, wrzucając bagaże do furgonetki Joyce.

– A mnie nie jest wszystko jedno, chcę mieć ślub piękny i uroczysty – zakończyła Celie. Marzyła przecież o tym ślubie od lat.

Artie siedział wygodnie wyciągnięty w fotelu, popijając drinka i z wyraźną przyjemnością przeglądał album ze zdjęciami, który dostał od Celie.

– No widzisz, poszło jak z płatka – powiedział do Jace’a, który zasiadł właśnie na kanapie, także z drinkiem w ręku.

– Niezupełnie – odparł Jace spokojnie, nie wtajemniczając jednak starszego pana w przykre momenty tej podróży.

Butelka jacka danielsa, którą przywiózł Artiemu w prezencie, wprowadzała ich w miły nastrój. Przyszło mu na myśl, że przydałoby się tych butelek jeszcze kilka, żeby jakoś przetrwać czas dzielący go od ślubu.

Przez ostatnie dwa tygodnie, odkąd wrócili do Elmer, rzadko miał czas, żeby usiąść i głęboko odetchnąć. Pracował oczywiście u Artiego i na ranchu, a prócz tego każdego ranka ujeżdżał konie u Taggarta Jonesa, lecz jeśli tylko miał wolną chwilę, natychmiast okazywało się, że jest potrzebny Celie. Oczekiwała jego opinii w niezliczonych sprawach dotyczących ślubu i nie mogła pojąć, że jest mu naprawdę wszystko jedno, czy przyjęcie weselne będzie przy stole, czy w formie bufetu, albo na jakim papierze wydrukuje się zaproszenia. Dla niej liczył się każdy szczegół tej ceremonii.

Teraz Jace zwierzał się z tego Artiemu, oczekując od niego wsparcia i współczucia.

– I do tego jeszcze mam być w smokingu – jęknął.

Zdażył już się przekonać, że w kwestii ubrania nie ma żadnej dyskusji. Celie chciała, żeby wszystko było „jak trzeba”, a to oznaczało białą suknię do ziemi dla niej i jej druhen, oraz smokingi dla pana młodego i drużby.

Drużbą miał być Artie. To był jedyny warunek, który postawił Jace. Chciał w ten sposób wyrazić swoją wdzięczność wobec starszego pana, za wszystko co dla nich dwojga zrobił. Poza tym fakt, że Artie miał również wystąpić w smokingu, trochę poprawiał mu humor.

Powstał tylko problem, kto w takim razie poprowadzi pannę młodą do ołtarza. Jace zaproponował Walta, który był przecież jej ojczymem, Celie zaś wpadła na pomysł, że równie dobrze może to być Sloan.

Obecność Sloana na ślubie groziła jednak najazdem dziennikarzy, a tego żadne z nich nie chciało. Postanowili, że w żadnym razie nie dopuszczą przedstawicieli mediów do udziału w ich ceremonii.

Czy zresztą dziennikarzy aż tak bardzo obchodziło, że Celie O’Meara wychodzi za mąż? Jace w to wątpił. Natomiast osobą, którą obchodziło to najbardziej na świecie, był on sam. Kochał Celie ponad wszystko i chciał, żeby była szczęśliwa. Tylko dlatego wytrzymał całe to przedślubne urwanie głowy.

Ostatnie dwa tygodnie to było szaleństwo. Celie zajmowała się wyłącznie planowaniem ślubu i przyjęcia weselnego. Wciąż prowadziła rozmowy ze swoją matką, z Poppy Nichols, właścicielką kwaciarni w Livingston, z facetem od organizacji przyjęć, z facetem od zaproszeń, z pastorem z tutejszego kościoła albo z Polly na temat wynajęcia sali w ratuszu.

Kiedy Jace chciał się z nią kochać i w ten sposób uczcić zaręczyny, odmówiła mu z

przerażeniem w oczach. Nie rozumiał, o co jej chodzi.

– Przecież to Elmer! Zaraz wszyscy się dowiedzą!

– I tak wiedzą. – Jace nie dawał za wygraną.

Celie jednak była nieugięta. Nie chciała, żeby miejscowe plotkarki wzięły ich na języki.

– Poza tym, co by pomyślał Artie? – dodała.

– Artie nie miałby nic przeciwko temu. – Tego akurat Jace był całkiem pewien.

– Nie rozumiem, dlaczego siedzisz tutaj ze mną, zamiast iść do Celie – mówił starszy pan, popijając jacka danielsa.

– Dlatego, że u niej jest teraz kwatera główna i natychmiast dostanę cały spis rzeczy do zrobienia – odpowiedział Jace ponuro.

– Zaczyna cię brać pod pantofel, co? – zachichotał Artie.

– Mam nadzieję, że nie. Przecież chyba odzyska rozsądek, i to niedługo.

– Trzeba było wziąć ten ślub, zanim zesłicie ze statku – zauważył Artie. – Nie byłoby tyle ambarasu.

– Proponowałem jej to, ale ona nie chciała.

– Trzeba było siłą zaciągnąć ją przed kapitana.

– Teraz mi to mówisz?

– Do diabła, chłopie! Nie możesz wymagać, żeby taki starzec jak ja myślał za ciebie!

Celie zaplanowała wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Listę zakupów i spraw do załatwienia, długą na metr z hakiem, znała już na pamięć. I czasami zaczynała ogarniać ją zniechęcenie. Puściła w ruch wielką maszynę przygotowań i teraz nie mogła jej już zatrzymać. Kupiła suknię ślubną i welon, wybrała suknie dla druhen, zamówiła kwiaty i tort weselny. Tego ranka zaadresowała i wysłała ostatnie zaproszenia.

Wiedziała jednak, że gdyby tylko powiedziała: Dajmy sobie z tym spokój! – Jace przystałby na to z ochotą.

Było oczywiste, że nie lubił takiej pompy i starał się trzymać z daleka od weselnych przygotowań. Dał jej w tej sprawie całkowicie wolną rękę. Chciał tylko, żeby jego drużbą był Artie.

Naprawdę wiele już wytrzymał, Celie to doceniała. Chodziło nie tylko o przygotowania, ale także o to, że zgodził się, by sypiali oddzielnie.

– Ale dlaczego? Przecież na statku sypialiśmy ze sobą – próbował protestować, kiedy zakomunikowała mu tę decyzję.

– Tak, ale to było na statku, a teraz jesteśmy tutaj.

– Najwyraźniej zależało jej na tym, żeby w purytańskim Elmerie budzić zgorszenia.

Wiedziała, że złośliwe języki Alice i Cloris nie zostawiłyby na nich suchej nitki.

Dlatego Jace, chcąc nie chcąc, co wieczór szedł nocować do Artiego.

– Coś mi się wydaje, że do ślubu i ja ubiorę się na biało – zażartował ponuro, żegnając się z nią poprzedniego wieczora.

– Oczywiście. – Celie roześmiała się i pocałowała go.

– A nad głową będziesz miał aureolę.

– Bóg mi świadkiem, że na nią zasłużyłem. Celie w duchu przyznała mu rację.

Na dwa tygodnie przed ślubem zadzwoniła Polly, zapraszając ich na weekend na ranczo.

Jace wciąż był trochę zazdrosny o Sloana, lecz ponieważ Celie naprawdę zależało na tej wizycie, nie robił trudności. Była to rzadka okazja, by zobaczyć całą rodzinę Polly w komplecie, gdyż Sloan wkrótce wyjeżdżał kręcić nowy film w Meksyku, a sama Polly była tak zajęta, że nie miała kiedy wpaść do Elmer.

Jace miał nadzieję, że ten wypad skróci mu choć trochę czas oczekiwania na ślub, bo odliczał już nie tylko dni, ale i godziny.

W sobotę wczesnym rankiem podjechał więc po Celie. Do ślubu zostało około 335 godzin.

Przyszło mu do głowy, że może chociaż u Polly, z dala od miasteczka, będą mogli spać razem. Celie pozostawiała to jednak decyzji siostry, mieli być jej gośćmi.

Jace starał się o tym nie myśleć. Pragnął Celie nieprzytomnie, lecz musiał na razie wziąć się w karby.

– No to opowiedz mi o przygotowaniach do ślubu – rzekł wreszcie bohatersko. Było to dla niego równie nudne, jak wymienianie nazwisk wszystkich prezydentów po kolei czy recytowanie tabliczki mnożenia, lecz choć trochę go uspokajało, a Celie była uszczęśliwiona, opowiadając mu o wszystkim, co zaplanowała – o menu, kwiatach, muzyce, torcie i strojach. ‘

– Moja suknia jest cudowna – mówiła, a oczy jej błyszczały. – Zobaczysz, będziesz zachwycony.

Jace kiwnął głową. Dla niego Celie mogła wystąpić nawet w worku i też wydawałaby mu się najpiękniejsza na świecie.

– Na pewno mi się spodoba – powiedział – jeżeli tylko nie ma zbyt wielu guzików.

– No, może czterdzieści czy pięćdziesiąt – droczyła się z nim.

Natomiast do myśli o włożeniu smokinga Jace nadal nie mógł się przyzwycząić, a czekała go jeszcze przymiarka.

W atmosferze przedślubnych przekomarzań dojechali na ranczo, gdzie Sloan i Polly już ich oczekiwali. Nawet na pierwszy rzut oka widać było, że są ze sobą szczęśliwi.

– Więc bierzecie ślub! Wciąż nie mogę w to uwierzyć! – wykrzyknęła Polly i uściskała ich oboje z całej siły. Potem zostawiła Jace’a ze Sloaniem, a sama wzięła Celie za rękę i poprowadziła w głąb domu.

– Chodź, musisz zobaczyć dom i poznać naszych gości – powiedziała. – Tym razem Sloan przywiózł sobie pracę do domu.

Był czas, że obaj koty ze sobą darli. Mieli po kilkanaście lat i kiedy Jace złamał Sloanowi nos w bójce, ten niewiele myśląc, w tydzień później odplacił mu pięknym za nadobne.

Jace nawet już nie pamiętał, o co im wtedy poszło. Natomiast całkiem niedawno, pół roku temu, był o niego dziko zazdrosny.

Teraz żałował swojego zachowania, bo postępował głupio od początku do końca. Najpierw kpił sobie z Celie, że zakochała się w idolu tłumów, potem starał się wzbudzić w niej zazdrość, flirtując z każdą dziewczyną, która przychodziła do sklepu, aż wreszcie sprowadził do domu Artiego aktorkę, Tamarę Lynd. Ona też brała udział w aukcji i przez parę

dni z nim mieszkała.

Jace nie przypuszczał, że Celie w tej aukcji zwycięży, i cierpiał męki, kiedy pojechała do Hollywood na weekend ze Sloanem. Jeszcze gorzej było, kiedy wróciła i nadal grała rolę zakochanej po uszy.

Nawet teraz to wspomnienie doprowadzało go prawie do wrzenia.

Zastanawiał się, co o nim myśli Sloan.

Jego przyszły szwagier miał jednak całkiem przyjazne zamiary.

– Chyba należą ci się gratulacje – powiedział, wyciągając rękę. I obaj uścisnęli sobie dłonie.

Jace wciąż odczuwał wobec Sloana pewną rezerwę, choć zdawał sobie sprawę, że jest ona nieuzasadniona. Nie miał powodów do obaw, Sloan był teraz szczęśliwym mężem Polly, którą podobno kochał od lat, co Celie przyjęła bez żalu i Jace wiedział to od niej.

– Kochasz ją – powiedział Sloan cicho.

– Tak.

– To dobrze. Ona na to zasługuje, dosyć już przeszła.

– Tak – kiwnął głową Jace.

– Uważała, że to ty zawiniłeś. Miała po temu podstawy?

– Tak.

Jeszcze niedawno odpowiedziałby, że nie. Teraz jednak przyznawał uczciwie, że mógł postępować lepiej, zachowywać się doroślej i być bardziej odpowiedzialny.

Sloan patrzył na niego ze zrozumieniem. On także popełnił w życiu wiele głupstw i błędów.

– Nie powinniśmy żałować przeszłości – powiedział.

– Ja jestem teraz lepszym człowiekiem – wyznał Jace z nadzieją, że ta zmiana okaże się trwała.

– Obaj musimy być lepsi, żeby one były szczęśliwe – zakończył Sloan refleksyjnie, patrząc w stronę domu, w którym właśnie znikły Polly i Celie.

– Jace, chciałabym, żebyś poznał Gavina McConnella.

– Polly wprowadziła Jace'a do pełnego ludzi salonu. Była wśród nich także czwórka jej dzieci. Nie miał jednak czasu się rozejrzeć, bo podeszli właśnie do szczupłego, ciemnowłosego mężczyzny, który stał przy kominku i obejmował ramieniem Celie.

– Gavinie, to jest Jace Tucker. Gavin jest aktorem – dokonała prezentacji Polly i dodała z dumą: – Jace jest narzeczonym Celie i zajmuje się ujeżdżaniem koni.

Nazwisko Gavina McConnella nie wymagało żadnych komentarzy. Znał je nawet Jace, który nie był zagorzałym kinomanem. Gavin McConnell był sławny. Jego role zostawały na długo w pamięci; filmy, w których grał, stawały się hitami; dostał dwie nagrody Akademii i szereg innych prestiżowych wyróżnień.

A teraz poufale obejmował Celie.

Jace już miał na końcu języka uwagę, że to jego dziewczyna i nikt nie ma prawa jej dotykać, lecz wiedział, że Celie nie pochwaliłaby takiego zachowania, i zmilczał. Zamiast tego powiedział uprzejmie:

– Miło mi pana poznać. Wiele o panu słyszałem. Potem zamienili jeszcze parę słów na temat nowego filmu Sloana, reżyserowanego, jak się okazało, właśnie przez McConnella. Sloan zaprosił kolegów do siebie, aby przez weekend wspólnie przygotować się do pracy i dokładnie przestudiować materiał, bo już wkrótce mieli zacząć kręcić. W tym momencie podeszła do nich kobieta o długich, ciemnych włosach i głosem, który Jace'owi wydał się znajomy, wtrąciła:

– Gram w tym filmie razem ze Sloanem.

Dopiero po chwili uświadomił sobie, skąd zna jej głos.

Kiedy ją widział ostatnio, włosy miała krótkie i zupełnie innego koloru.

– Och, Jace – powiedziała Polly – pamiętasz przecież Tamarę Lynd, prawda?

Nie bardzo wiedział, co ma ze sobą zrobić, więc przyłączył się do dzieci Polly. Nie miał wyboru, ponieważ obie siostry pogrążone były w rozmowie na temat ślubu, natomiast filmowcy zaczęli dyskutować nad scenariuszem. Zapraszali go, żeby się do nich przyłączył, on jednak wolał trzymać się z dala od Tamary Lynd. Przelotny romans, który łączył ich w czasie aukcji, był dla niego epizodem bez znaczenia i wolał o nim zapomnieć. Nie wiedział natomiast, co myśli na ten temat Tamara i z czym jeszcze może wyskoczyć. Tego rodzaju komplikacje zupełnie mu teraz nie były potrzebne.

Najchętniej nie odstępowałby Celie, lecz nieustanne dyskusje co do szczegółów ceremonii doprowadzały go już do szału.

Dlatego wolał spędzić parę godzin z dziećmi i ich końmi. Pożyczywszy jednego z koni Sloana, ćwiczył jazdę z Jackiem i czternastoletnią Daisy, a nawet zorganizował mały wyścig. Dopiero siedząc na końskim grzbiecie, poczuł się naprawdę dobrze i bezpiecznie. Nareszcie był znowu sobą.

W pewnej chwili okazało się jednak, że mają audytorium. Tamara, Gavin i Sara, córka Polly w zaawansowanej ciąży, stali oparci o ogrodzenie i przyglądali się jeździe.

– Cudownie, cudownie, brawo! – wykrzykiwała z egzaltacją aktorka pod adresem Jace'a.

Gavin też obserwował z uwagą, natomiast Sara nie kryła zawodu, że w swym stanie nie bardzo może już jeździć.

Pod pretekstem pojenia koni, Jace odciągnął ją na bok i wdał się z nią w rozmowę. Sara była mądrą i odpowiedzialną dziewczyną, szczerze ją podziwiał.

Nie mógł jednak unikać Tamary przez cały czas. Kolację wszyscy jedli wspólnie, zgromadzeni wokół wielkiego dębowego stołu w jadalni, a Polly potrafiła wspaniale gotować i tym razem dała popis swego kunsztu. Potem siedzieli razem w salonie i opowiadali rozmaite historie z życia filmowców i kowbojów.

Jace początkowo trzymał się na uboczu, w obawie, że Tamara może się do niego przyśiąć. Ona jednak nie zdradzała większego zainteresowania jego osobą. Opowiadała jakąś śmieszną historię z początków swej kariery, którą zaczynała jako modelka.

– Chciałam zostać zauważona i stać się gwiazdą – wyjaśniła.

Rzeczywiście, ta kobieta dla kariery zrobiłaby wszystko. Gotowa była nawet kupić na aukcji Sloana Gallaghery, żeby przy okazji zwrócić na siebie uwagę mediów. Przegrała jednak, pokonana przez Celie. Pocieszyła się wtedy z Jace'em, lecząc swoją frustrację.

A jednak szczęście i tak się do niej uśmiechnęło. Podczas imprezy w Elmer dostrzegł ją reżyser, John Cunningnam, i wkrótce potem zaproponował jej rolę w swym nowym filmie.

– A ja zaangażowałem ją do swojego, jak tylko zobaczyłem tamten – oświadczył Gavin z entuzjazmem.

Tamara była rozpromieniona, opowiadając tę historię; w ciągu ostatniego pół roku wiele osiągnęła.

– Morał z tego taki, że czasem klęska okazuje się zwycięstwem – zakończyła, a Jace po tym stwierdzeniu odetchnął z ulgą.

Wyglądało na to, że Tamara nie ma już na niego żadnych zakusów. Wiedziała, że jest zakochany w Celie, i życzyła im obojgu jak najlepiej. Wyraziła nawet nadzieję, że zostanie zaproszona na ślub.

Jace nic na to nie powiedział, Celie natomiast zapewniła, że oczywiście.

Tej nocy na szczęście mieli spać razem.

– Tamara jest całkiem inna, niż myślałam – powiedziała Celie, kiedy już leżeli w łóżku. – Jest piękna i atrakcyjna, ma swoje zdanie, ale... jest też autentyczna. Podoba mi się. A tobie?

– No jasne, jest całkiem w porządku – mruknął w odpowiedzi Jace, którego w tej chwili zupełnie nie obchodziła Tamara. Jego uwagę bez reszty pochłaniała inna kobieta, ta tuż obok. – Chodź do mnie – wyszeptał namiętnie – nareszcie możemy się kochać.

W niedzielę jedli obiad pod gołym niebem, a zaraz potem Jace i Celie zaczęli zbierać się do odjazdu. Następnego ranka Gavin, Sloan i Tamara mieli odlecieć prywatnym samolotem na plan swego filmu do Meksyku.

Zegnali się i Jack zaczął marudzić, że wszyscy odjeżdżają, a on musi zostać.

– Szkoła – powiedziała krótko Polly.

– Ucz się, chłopie, to będziesz taki jak ja albo wujek Jace – rzekł Sloan.

– No, rzeczywiście, obaj jesteście przykładem gruntownie wykształconych mężczyzn – zakpiła jego żona.

– To wspaniali faceci – wtrąciła Tamara, uśmiechając się szeroko do Jace'a i Sloana. Po czym zniżając głos, aby dzieci nie usłyszały, dodała: – I znakomici kochankowie.

– Tamara! – Sloan był bliski apopleksji.

Jace zaniemówił, zdumiony tupetem tej kobiety.

– To prawda – broniła się Tamara. – To oczywiście było w czasie przeszłym.

Przyjacielskim gestem poklepała Sloana po ramieniu, po czym zwróciła się do Polly i do Celie:

– Nigdy nie sypiam z żonatymi mężczyznami – poinformowała. – I nigdy ich nie uwodzę. Nawet takich świętnych, jak ci dwaj – dodała z nutką żalu w głosie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Droga do domu okazała się dla Jace'a jedną wielką torturą. Celie siedziała obok niego w samochodzie, lecz była jakby nieobecna duchem. Na pytania odpowiadała monosylabami.

O czym myślała?

Jace zastanawiał się, jak wytłumaczyć jej ten nic dla niego nie znaczący incydent z Tamarą, lecz nie znajdował słów. Jak miał opowiedzieć kobiecie, którą kochał, o nocy spędzonej z inną?

Czy miał powiedzieć, że spał z tamtą tylko dlatego, że Celie zainwestowała oszczędności całego swego życia w weekend ze Sloanem?

Na ten temat nie powiedział więc nic, natomiast prawie przez całą drogę trajkotał nerwowo jak katarynka, żeby zagłuszyć kłopotliwą ciszę, a może, by wywołać jakąś żywszą reakcję ze strony Celie.

Nie zdało się to jednak na nic.

Tama pękła dopiero wtedy, gdy przyjechali na miejsce i już mieli się rozstać u drzwi domu Celie.

– Posłuchaj, Celie... – zaczął Jace z rozpaczą. – Musimy porozmawiać.

– Ja muszę pomyśleć.

– Tu nie ma o czym myśleć! Na pewno nie o tym, co powiedziała Tamara. Przecież wiesz, że ta historia nie miała żadnego znaczenia. I nigdy się to już nie powtórzy! Przysięgam.

– Wierzę ci. – Celie kiwnęła głową.

– Naprawdę? O Boże! Co za szczęście! – Jace poczuł, że ogarnia go wielka fala ulgi. Uśmiechnął się, chociaż serce wciąż waliło mu nieprzytomnie i kolana drżały.

– Więc... rozumiesz? To był epizod, jedna głupia noc, nic więcej.

Celie kiwnęła głową, lecz była poważna. Wyglądała na zamyśloną.

– Rozumiem – powiedziała w końcu. Weszła do domu i zamknęła za sobą drzwi.

Trzeba było Tamary Lynd, żeby uświadomiła sobie, jaką była idiotką.

Myślała o tym przez całą noc, a z samego rana poszła do sklepu z artykułami żelaznymi. Chciała zobaczyć się z Jace'em, zanim jeszcze w sklepie pojawią się klienci i Artie.

Jace ustawiał jakieś pudełka; rozpromienił się na jej widok.

Celie musiała opancerzyć swoje serce, żeby nie poddać się jego urokowi.

– Przyszłam, żeby coś ci oddać. Proszę. – Wyciągnęła do niego zaciśniętą dłoń z ukrytym w niej pierścieniem.

Popatrzył na nią uważnie i dopiero po chwili pojął, z czym do niego przyszła.

– Nie. – Potrząsnął głową i wcisnął ręce w kieszenie.

– Mówiłaś, że mi wierzysz – rzekł z wyrzutem.

– Wierzę ci – przytaknęła, wciąż usiłując wcisnąć mu pierścione.

– Więc dlaczego to robisz?

– Bo nie mogę... nie mogę wyjść za ciebie za męż!

– Celie, na litość boską! Tamto to już przeszłość. Przecież to nie ma sensu!

– Dla mnie ma.

– W takim razie wytłumacz mi jaki.

Celie odetchnęła głęboko, po czym z widocznym wysiłkiem odpowiedziała:

– Nic z tego nie będzie.

– Co to znaczy? Z czego nic nie będzie?

– Nic nie będzie z naszego małżeństwa. Po prostu nam się nie uda! – Na jej twarzy odmalował się wyraz bólu, w oczach zalśniły łzy. – Ja się dla ciebie nie nadaję. Nawet Matt mnie nie chciał...

– Co? – Jace wpatrywał się w nią, nic nie rozumiejąc.

– Co Matt ma z tym wspólnego?

Celie przywoływała wspomnienie Mana, kiedy potężną falą powracało jej poczucie niższej wartości i brak wiary w siebie.

– Spałeś z Tamarą! – wyrzuciła z siebie.

– Bo byłem durniem. Zdarzyło się to jeden, jedyny raz. I wiesz kiedy? Tego dnia, kiedy ty wygrałaś Sloana na aukcji. Byłem tym zdruzgotany, nie mogłem pojąć, co ci odbiło. Wtedy przyszła do mnie Tamara i zaczęła mnie pocieszać. A jak się skończyło, to już wiesz. Mogę ci tylko powiedzieć, że nie ma czego wspominać.

– No właśnie.

– Co właśnie?

– Stać cię na porównania, bo miałeś wiele kobiet. A ja? Mnie też byś oceniał. Na pewno nie mogę równać się z Tamarą Lynd.

– Przecież cię kocham, do diabła!

– Teraz. Teraz tak ci się wydaje. – Celie zdążyła to wszystko w nocy przemyśleć. – To nieprawda. Simone miała rację, to był tylko pokładowy romans, nic więcej.

– Bzdura!

– Nie. Ty sądzisz, że od dawna coś do mnie czułeś, lecz w rzeczywistości była to tylko pogoń za zdobyczą, jak na polowaniu. Trwało to tak długo, bo nie mogłeś mnie złapać, ale wreszcie dopiąłeś swego. Jesteś szczęśliwy, bo wydaje ci się, że masz coś, czego pragnąłeś. Ale to złudzenie i nie wystarczy, żeby przeżyć razem resztę życia.

Jace na dłuższą chwilę zaniemówił i wpatrywał się w Celie jak osłupiały.

– Czy ty mnie kochasz? – zapytał w końcu.

– Tu nie chodzi o miłość. – Celie próbowała wykręcić się od odpowiedzi.

– Właśnie, że chodzi wyłącznie o miłość. Do licha, Celie, ja cię kocham i nigdy nie kochałem żadnej innej. Nie znudzę się tobą ani za pięćdziesiąt lat, ani nawet za sto pięćdziesiąt, jeśli byśmy tak długo żyli.

– Ale nie będziemy.

– Nie wiadomo.

Celie jeszcze raz próbowała wcisnąć mu pierścionek. Bezskutecznie.

Jace skrzyżował ręce na piersiach i powiedział tonem kategorycznym:

– Nie mam zamiaru przyjąć go z powrotem. Oświadczyłem ci się, a ty powiedziałaś: tak.

– Zmieniłam zdanie.

– Tym gorzej.

– Co to znaczy?

– Ślub jest już zaplanowany i wszystko gotowe.

– No to odwołamy.

– Ja tego nie zrobię.

– No to ja odwołam.

– Celie, dlaczego? Przecież obiecałaś, że za mnie wyjdiesz? – Jace czuł, że ogarnia go rozpacz.

– Jestem realistką. Wiem, że bym cię zawiodła. Potrząsnął głową.

– Celie, ja w ciebie wierzę – rzekł z powagą – i wierzę w nasz związek. Chcę się z tobą ożenić i nic nie będę zmieniał w sprawie ślubu. A jeśli nie zechcesz za mnie wyjść, to wiesz, co będziesz musiała zrobić – wystawić mnie do wiatru.

Coś tak idiotycznego mógł wymyślić tylko Jace Tucker. Postanowił kontynuować przygotowania do ślubu, chociaż panna młoda nie zamierzała wziąć w nim udziału. Był uparty jak kozioł i nie przyjmował do wiadomości żadnych argumentów.

Celie szczerze mu współczuła, lecz była głęboko przekonana o słuszności swojej decyzji. Skoro nie potrafiła utrzymać przy sobie nawet Matta, a i Sloan nigdy nie zainteresował się nią jako kobietą – czy mogła się łudzić, że związek z takim facetem jak Jace okaże się trwały?

Przez ostatnie pół roku zdobyła nieco wiary w siebie, lecz wystarczyło kilka słów Tamary, by całe jej dobre samopoczucie legło w gruzach i powróciły dawne lęki i kompleksy. Była przekonana, że Jace wkrótce by się nią znudził i zacząłby się rozglądać za innymi kobietami. Potrzebował wolności i urozmaicenia i nie mogła go za to winić. Zrywając zaręczyny, chciała tylko oszczędzić im obojgu goryczy i rozczarowań.

Ta prawda jednak do niego nie docierała. Na razie.

Celie wiedziała, że kiedy nie będzie się z nim widywać, kiedy odwoła pastora, kwiaciarkę i przyjęcie weselne, Jace wreszcie zrozumie, że nie żartowała.

I na tym rzecz się skończy.

– Smoking? – Artie pokiwał głową. – Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek miał coś takiego na sobie.

– Ja też nie – przyznał Jace – ale Celie tak sobie życzy. – Dlatego dziś po południu pojedziemy do przymiarki.

Nagle zaczęło mu zależeć na wizycie u krawca, choć do niedawna sama myśl o tym, że ma wystąpić w smokingu, była zmorą.

Tego ranka odbył rozmowę telefoniczną z pastorem, potwierdzając termin ślubu.

– Kto mówi? – pastor sprawiał wrażenie zaskoczonego. – Jace Tucker? Myślałem... Celie mówiła...

– Celie tylko trochę panikuje – odparł Jace. – Termin jest jak najbardziej aktualny, będziemy w kościele tak, jak było umówione.

Podobne rozmowy przeprowadził z Poppy na temat kwiatów, z Denise, organizatorką

przyjęcia, i z Julie Ann, która miała upiec tort weselny.

Każda z nich mówiła, że Celie wszystko odwołała, i za każdym razem Jace zapewniał, że ślub odbędzie się zgodnie z planem. Na wszelki wypadek poparł te zapewnienia czekami. Na ręce Polly wysłał czek mający pokryć wynajęcie sali w ratuszu.

Zadzwoiła, kiedy tylko go dostała.

– Co ty wyprawiasz? – zapytała. – Celie mówiła, że ślubu nie będzie.

– Owszem, będzie – powiedział stanowczo.

– Tak? No to świetnie. Już myślałam, że Tamara napędziła jej stracha.

– Hm, rzeczywiście wpadła w lekką panikę.

– Przecież to już przeszłość. Tak samo jak przygoda Tamary ze Sloanem. – Spokojny ton głosu Polly działał na Jace'a krzepiąco. – I mogę ci powiedzieć, że to się już na pewno nie powtórzy! – W jej głosie brzmiała ufność, pewność i wiara w trwałość swego małżeństwa.

Miał nadzieję, że do godziny trzeciej po południu trzeciego października Celie równie mocno uwierzy w jego miłość, jak jej siostra wierzyła w miłość Sloana.

Działo się coś zupełnie niezwykłego.

Celie odwołała ślub, ale nikt w to nie wierzył.

Jace wytłumaczył wszystkim, że to z nerwów, a przygotowania mają być kontynuowane.

Dlatego nadal odbierała telefony z pytaniami, jakiego koloru mają być kwiaty, czy chce mieć tort z malinami, czy bez, jaka muzyka podczas ślubu najbardziej by jej odpowiadała.

– Nie będzie żadnego ślubu! – krzyczała Celie w słuchawkę, a wszyscy składali to na karb jej nerwów.

Uspokajali ją jak wystraszone dziecko i zupełnie nie przyjmowali do wiadomości, że nic ją nie obchodzi maliny na torcie ani kolor kwiatów, bo zmieniła zdanie i za mąż nie wychodzi.

– Jeśli Jace to organizuje, zapytajcie Jace'a! – wołała wreszcie, pokonana, i rzucała słuchawkę.

Naprawdę lepiej byłoby, gdyby go nie kochała. Bóg świadkiem, że odwołała ślub jedynie z miłości – dlatego, że nie chciała Jace'a zawieść, zranić go, zanudzić swoją osobą. On nie zdawał sobie sprawy, jak ponura przyszłość czekała go z Celie; przynajmniej w jej własnym mniemaniu. Uświadomiła sobie to dopiero wtedy, gdy zaczęła porównywać się z Tamarą i łuski spadły jej z oczu. Po prostu nie była partnerką dla Jace'a Tuckera, najprzystojniejszego kowboja Montany!

Usiłowała mu to wytłumaczyć, lecz on był tak głupi, że nic nie rozumiał. Co miała robić?

Czas upływał, a upór Celie nie mijał. Konsekwentnie unikała spotkań i rozmów z Jace'em. Nawet Artie, nieświadom tych zawirowań, zaczął się czegoś domyślać.

– Posprzeczałeś się z Celie? – zapytał na kilka dni przed ślubem, kiedy Jace wrócił do domu na lunch.

Jace nie informował Artiego o jej zmianie decyzji, bo wiedział, co by z tego wynikło. Artie na pewno miałby na to radę, a on nie chciał, żeby dziewięćdziesięcioletni staruszek uczył go, co ma robić.

– Zaczyna się trochę denerwować – odpowiedział.

- Ciekawe. – Artie właśnie robił kanapki. – Mnie powiedziała, że za ciebie nie wyjdzie.
- Mówiłem ci, że to nerwy. – Jace starał się sprawę zbagatelizować.
- Jesteś tego pewien?
- Oczywiście.
- Więc jednak wystąpimy w smokingach? – Wyglądało, jakby Artie nie mógł się już tego doczekać.
- Wystąpimy – potwierdził stanowczo Jace.
- Tak jej właśnie powiedziałem.
- A ona?
- Nic nie odpowiedziała. Zrobiła się tylko czerwona i zaraz uciekła. Dlatego pomyślałem, że coś między wami nie gra.
- Jak możesz oszukiwać tego bezbronnego, starego człowieka? – Celie trzęsła się ze złości, co było słychać nawet przez telefon.
- Hej, Celie, jak się masz? – Jace nie spodziewał się, że zadzwoni.
- Dlaczego nie powiedziałeś nic Artiemu?
- Czego nie powiedziałem?
- Doskonale wiesz czego! On wciąż trwa w przekonaniu, że ślub się odbędzie.
- Bo się odbędzie.
- Nie, nic z tego. A ty wyjdiesz na durnia.
- Może i tak – odparł Jace po chwili milczenia. – To już będzie zależało od ciebie.

Celie siedziała w kuchni sama z kotem Sidem, pogrążona w niewesołych rozmyślaniach, kiedy nagle usłyszała kroki na ganku. Nie zamierzała otwierać. Nie chciała nikogo widzieć ani powtarzać po raz któryś z kolei, że nie wyjdzie za Jace'a Tuckera, bo zmieniła zdanie.

– Nikogo nie wpuszczamy, prawda, kiciu? – szepnęła do Sida i w tym momencie drzwi otworzyły się i nagle dom wypełnił się gwarem rozmów i tupotem.

To była Polly, razem z całą swoją hałastrą: Jackiem, Lizzy, Daisy i Sarą.

– Cześć, ciociu Celie!

– Dzień dobry, ciociu! – wołali jedno przez drugie. – Przyjechaliśmy na wesele!

– A dziś wieczorem zabieramy cię „Pod Baryłkę” – dodała wesoło Polly.

Wśród miejscowych kobiet panowała tradycja, że jeden z wieczorów poprzedzających ślub panna młoda spędzała w barze „Pod Baryłką” w Livingston. Zwyczaj ten powstał zaraz po wojnie, kiedy córka tutejszego ranczera, mająca następnego dnia wyjść za mąż, poznała w barze przyjezdnego żeglarza i uciekła z nim w świat.

Taki wieczór nazywano „kuszeniem losu”. Mówiło się, że panna, która przeszła taką próbę i poślubiła swego wybranego – była potem szczęśliwa w małżeństwie.

– Nie wychodzę za mąż – ostudziła ich entuzjazm Celie.

Dziewczynki wyglądały na zgorzzone, Jack był zaskoczony. Polly wzniosła oczy ku niebu, lecz nie straciła przytomności umysłu.

– Jutro zrobisz, co będziesz chciała, ale dzisiaj jedziemy „Pod Baryłkę” – zadecydowała.
– Tylko się przebierz i włóż buty do tańca. Mamę też zabieramy.

To absurd i szaleństwo, pomyślała Celie. Po co kusić los, jeśli i tak nie chce się wziąć ślubu?

A jednak nie oponowała i pojechali.

W barze było tłoczno i gwarno, jak zwykle w piątkowe wieczory, Celie jednak nie potrafiła poddać się nastrojowi wesołej zabawy. Młodzi mężczyźni, którym się przyglądała, nawet nie umywali się do Jace'a. Jace był wspaniały, przystojniejszy od nich wszystkich.

Do diabła! Problem nie polegał na tym, że jemu czegoś brakowało.

Problem tkwił w niej!

Była bliska łez i ucieszyła się, kiedy Polly oświadczyła, że wychodzą.

W tym samym czasie i Jace świętował swój kawalerski wieczór, ale jemu też nie było do śmiechu. Koledzy pokpiwali sobie, jak to jest w zwyczaju przy takich okazjach, a on czuł, że ogarnia go coraz większy niepokój.

Może Celie rzeczywiście postąpi tak, jak zapowiadała, i narazi go na pośmiewisko? Nie przyszła do niego, nie powiedziała, że przeprasza, że miał rację. Nie powiedziała mu nawet, że go kocha.

Nie był pewien, czy powiedziała mu to kiedykolwiek.

Może dla niej rzeczywiście był to tylko pokładowy romans?

Wciąż twierdziła, że za niego nie wyjdzie, a on upierał się przy swoim. Czy taka jest droga do szczęśliwego małżeństwa?

Na razie przekonywał wszystkich, że Celie jest tylko trochę spięta ze względu na swe dawne, bolesne doświadczenie z Mattem. Dzielnie podtrzymał zaproszenie na ślub i wesele, od których dzieliło go już tylko kilkanaście godzin.

Kawalerski wieczór nie odbyłby się bez udziału najstarszego pewnie druzby na świecie. Artie poczytywał sobie za honor i obowiązek wzniesienie uroczystego toastu.

– Za najrówniejszego faceta pod słońcem – powiedział, wznosząc kieliszek. – I za dziewczynę, którą kocham, jak... – tu głos mu zadrżał – jak własną wnuczkę. Oby całe życie upływało im w szczęściu i miłości!

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Jace uznał, że najwyższy czas powiedzieć Artiemu prawdę. Wieczorem, kiedy wrócili z baru, przyszedł do niego do sypialni.

– Ona nie chce za mnie wyjść, Artie – powiedział.

– Nie chce?

– Obawiam się, że nie.

– Kochasz ją – starszy pan stwierdził fakt oczywisty.

– Kocham ją i zawsze będę kochał, ale ona... sam już nie wiem. Może ona mnie nie. – Wypowiedział to z wielkim trudem, przygarbił się i spuścił głowę.

– I co zamierzasz zrobić?

– A ty mi nic nie poradzisz? – Jace uśmiechnął się krzywo.

– Nie, ale chcę ci opowiedzieć pewną historię. – Artie usiadł na łóżku i wskazał mu fotel na biegunach. – Dawno temu – zaczął – kiedy byłem młodszy niż ty teraz, poznałem dziewczynę swoich marzeń... Byłem wtedy kowbojem w stanie Waszyngton, pracowałem u faceta, który nazywał się Jack Carew. Miał tysiąc koni, olbrzymie ranczo i córkę, najpiękniejszą dziewczynę na świecie.

– To była Maudie?

Artie nie odpowiedział, opowiadał dalej:

– Zakochałem się w niej, ale kim ja tam byłem? Biednym kowbojem, zatrudnionym przez jej ojca. Nie miałem praktycznie nic.

– Oprócz swego czarującego sposobu bycia – zauważył z lekką ironią Jace.

– No właśnie. I to wystarczyło. Okazało się, że jej się podobam. Zaczęliśmy trochę ze sobą kręcić... nie, to było coś poważnego. Zapytałem, czy wyjdzie za mnie. Powiedziała, że tak, lecz jej ojciec nie wyraził zgody. Twierdził, że nie będę w stanie zapewnić jej takich warunków, na jakie ona zasługuje. I miał rację. Nigdy niczego jej nie brakowało, studiowała w college'u. Ze mną marnowała tylko czas, tak mówił jej stary.

– To Maudie miała wyższe wykształcenie?

– Nie mówię o Maudie! Może byś słuchał, zamiast wciąż mi przerywać?

Jace otworzył usta ze zdumienia. Więc nie chodziło o Maudie, żonę Artiego? W takim razie o kogo?

– Ona mówiła, że mnie kocha, a wszystko inne się nie liczy, i że muszę jej tylko uwierzyć. Lecz ja nie uwierzyłem. – Westchnął głęboko. – Chciała ze mną uciec. Mówiła, że nie potrzebujemy nikogo prócz siebie nawzajem i że damy sobie radę. A ja nie dałem jej się przekonać. Uwierzyłem jej ojcu, bałem się odpowiedzialności i zrobiłem coś, co miało być z korzyścią dla niej. Wyjechałem stamtąd i wróciłem do Elmer. – Znów westchnął, po czym innym już tonem dodał: – Dwa lata później ożeniłem się z Maudie.

– I? – Jace oczekiwał jakiegoś podsumowania.

– Kochałem ją i ona mnie. Powinienem być podjąć ryzyko.

– Tego nie wiesz – odparł Jace. – Wasze uczucie mogło nie przetrwać.

– Przetrwalo – rzekł Artie.

– Ale... Maudie... ty i Maudie...

– Kochałem Maudie i byłem jej wierny. Zawsze. Nawet wtedy, kiedy przyjechała Anna.

– Przyjechała tutaj? Do Elmer?

– Odnalazła mnie. Zająłoby jej to trzy lata, bo ojciec nie chciał jej powiedzieć, skąd pochodzę. Była uparta i dopięła swego. Wciąż mnie kochała. Przyjechała nie sama – przywiozła ze sobą naszą córkę.

– Córkę? Miałaś córkę... – Jace poczuł się, jakby dostał silny cios w żołądek.

– Mam – poprawił Artie. – Mam córkę, ale ona o tym nie wie. Jest tutaj, zawsze tu mieszkała. To Joyce.

Jace wpatrywał się w niego oszołomiony. To Joyce? Matka Celie? W takim razie Artie jest dziadkiem Celie?

Tysiące pytań wirowało mu w głowie, cisnęły się na usta.

– Jak... ? Jak to było? – wyjąkał.

– Byłem już mężem Maudie i Anna to rozumiała; nie chciała jej ranić, ja też nie. Została tutaj, bo potrzebowała przyjaciela i ja byłem tym przyjacielem. Nie mogłem się z nią ożenić, ale mogłem opiekować się Joyce. Tak to było. A mogło być całkiem inaczej. – Artie potrząsnął głową. – Gdybym tylko uwierzył w jej miłość. I to właśnie chciałem ci powiedzieć: Kiedy spotka się taką miłość, trzeba postępować właśnie tak, jak ty, chłopcze; trzeba wierzyć.

Ostatnią noc przed ślubem Celie spędziła w motelu w Livingston. Nie chciała wracać do domu pełnego ludzi, wołała być sama.

Pokój w motelu był ciemny, zimny i ponury, a że i tak czuła się podle, pogłębiało to jeszcze jej przygnębienie.

Myślała o tym, jak bardzo zrani Jace'a. Będzie stał przed całym tłumem ludzi i czekał na nią, a ona nie przyjdzie. Na samą myśl o tym przechodził ją dreszcz. Dlaczego narażał się na ból i upokorzenie? Dlaczego, jeśli nie z miłości do niej?

Tak, Jace ją kocha.

A ona? Przecież tylko z miłości postanowiła odwołać ten ślub, więc dlaczego teraz zaczynała mieć wątpliwości?

Zrozumiała, że nie chodzi tu o Tamarę czy o jakiegokolwiek porównania. Chodzi tylko o nich dwoje, o to, by ufali sobie wzajemnie i wierzyli w swoją miłość.

Celie wiedziała, że Jace ma taką wiarę.

Pozostawało pytanie, czy ona także?

Wszystko już było gotowe i do rozpoczęcia ceremonii pozostało zaledwie kilka minut. Artie i Jace w galowych strojach czekali w małym pokoiku przy kościele. Starszy pan z wyraźnym zadowoleniem przyglądał się swemu odbiciu w lustrze, natomiast Jace z minuty na minutę czuł się coraz gorzej. Może powinien był jeszcze poczekać, okazać cierpliwość, przedłużyć okres narzeczeństwa, dopóki Celie nie poczuje się gotowa do ślubu?

Teraz już było za późno.

Celie podobno nie nocowała w domu, Polly nie widziała jej od ubiegłego wieczoru, co

dodatkowo pogłębiało jego niepokój.

Rozległa się muzyka organowa: Jace ze swym drużbą weszli do kościoła, by zgodnie z tradycją przed ołtarzem oczekiwać panny młodej. Kościół pękał w szwach, bo zgromadzili się wszyscy, którzy ich znali; było tu całe Elmer i okolice. Ku swojemu zdumieniu Jace zauważył Tamarę pod rękę z Gavinem, Allison, koleżankę Celie ze statku, i nawet wiekową Glorię Campanellę we własnej osobie.

Tylko panny młodej nie było!

Pojawił się pastor, a organista, jak na ironię, zaczął grać pieśń „Oto nadchodzi oblubienica”.

Jace chętnie zapadłby się pod ziemię.

Dlaczego nikt nie przerwał ceremonii? Dlaczego musiał przeżyć ten wstyd aż do końca?

Wśród zgromadzonych dał się wyczuć nastrój napięcia i oczekiwania; podniosły się szmery. Wszyscy patrzyli to na Jace'a, to na wejście, w którym powinna pojawić się Celie. Tylko organista spokojnie grał dalej.

I wtedy... w drzwiach kościoła stanęła panna młoda.

Włosy miała rozwiane i zaczerwienione policzki, ubrana była w dzinsy i bluzę. Towarzyszył jej Sloan, który z uśmiechem, uroczyście prowadził ją na spotkanie pana młodego.

Goście byli zdezorientowani; pastor zakasłał; Artie odchrząknął; Polly i jej córki nie wiedziały, czy śmiać się, czy płakać. Fotograf pstrykał zdjęcie za zdjęciem.

– Złapałam gumę – wyjaśniła Celie Jace'owi do ucha. – A przedtem musiałam nabrać wiary w siebie i w nasze małżeństwo, ale zdążyłam i jestem gotowa.

– Ja też – odpowiedział, biorąc ją za rękę. Pastor uśmiechnął się i kiwnął głową.

– Umiłowani, zebraliśmy się tutaj...

I tak, koniec końców, był to niezapomniany ślub.

Wśród wszystkich przygotowań zapomnieli zaplanować podróż poślubną. Całe szczęście, że kiedy ten problem wyszedł na jaw, Taggart Jones zaproponował im swój letni domek w lesie.

– Jest tam cicho, pięknie i daleko od ludzi – powiedział. – Miejsce jak wymarzone dla młodej pary.

Przyjęli jego propozycję z wdzięcznością.

Był późny wieczór, kiedy goście porzuchodzili się i porozjeżdżali do domów, a oni siedzieli razem u Celie w kuchni i dzielili się wrażeniami. Za parę minut także mieli wyjechać.

– Muszę się przebrać i spakować, za moment będę gotowa – oświadczyła Celie, która wciąż miała na sobie swój niezwykły strój ślubny; bluzę i dzinsy. Jace już dawno, z ulgą, wyzwolił się od smokinga.

Czekał na nią, jeszcze raz przeżywając w myśli całą ceremonię. Wiedział, że obraz Celie, z rozwianym włosom idącej przez kościół, na zawsze pozostanie mu w pamięci.

Przyszła do niego tak, jak stała – ponieważ go kocha. W decydującej chwili okazało się,

że suknia nie ma żadnego znaczenia i liczy się tylko miłość.

Odwrócił się, słysząc jej kroki i... otworzył usta ze zdumienia.

Celie schodziła z góry ubrana w suknię ślubną; spowita w biel, która metrami ciągnęła się za nią po schodach. Wyglądała przepięknie, zachwycająco i zupełnie nie na miejscu.

– Co ty wyprawiasz? – zapytał Jace, nie kryjąc podziwu. – Zaraz jedziemy w zupełną dzicz.

– Przecież nie mogłam jej nie włożyć, prawda? – Celie uśmiechała się triumfalnie. – A poza tym nie chciałam, żeby ci się upiekło.

– Co?

– Mężczyzna potrzebuje wyzwania – wyjaśniła, zarzucając mu ręce na szyję. – To tylko czterdzieści albo pięćdziesiąt guzików.